

Bohaterowie Adriatyku

Stanisław Majewski

str. 11-12

SAGA RODU SIEMIONÓW

Mirosław Derecki

str. 3

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 9 VII 1978 NR 14 (656)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Codzienny Lublin 1918 r.

Ireneusz J. Kamiński

W POCZĄTKACH 1918 roku Lublin z dalekimi przedmieściami zajmował obszar 2550 hektarów i liczył 93 tysiące mieszkańców, w tym 169 milicjantów, wspomaganym przez czterech sekretarzy, pięciu kancelistów i jednego woźnego. Jeśli zważymy, że czas wojenny i okupacja austriacka wzbogaciły cywilnych obywateli w różnego rodzaju broń palną oraz białą, uznanie owych sił porządkowych za co najmniej skromne będzie w pełni uzasadnione. W śródmieściu panował co prawda spokój, ale już na Starym Mieście napadano wieczorami na przechodniów, wybijano zęby w szczękach i szyby w oknach.

W okolicach Lublina było znacznie gorzej, tam strzelano do wieśniaków, dla kilkuset koron mordowano całe rodziny. Pewną przeciechę ludzie czerpali z faktu, że na Lubelszczyznę nie dotarły jeszcze bandy obłąkanych złodziei, grasujące w Galicji i w Warszawie. Zwolnieni z wojska z powodu wariactwa, osobnicy ci natychmiast ujawniali nieprzeciętną inteligencję i znajomość prawa, przejawiając się właśnie w organizowaniu band rabunkowych — działających właściwie bezkarnie, jako że sądy

uważały takich złodziei od winy i ciupy, co zresztą zachęciło zawodowych „dolinarzy” i „pajęczarzy” do udawania niepoczytalnych w razie wpadki. Do dzisiaj to żywa tradycja.

Taka sytuacja redagowała rubryki drobnych ogłoszeń w gazetach lubelskich. W numerze „Ziemi Lubelskiej” z 5 stycznia pan Edmund Rzączyński uprzejmie prosił „Spółkę Panów Złodziei, która obrala sobie miejsce swoich operacji na stacji Lublin, aby raczyła” zwrócić mu portfel z dokumentami, pozostawiając sobie pieniądze.

Do kradzieży zmuszała ludzi bieda. Zapalki, cukier, sól, mąkę i opał wydawano na kartki, na których widniał herb miasta. Poszkodowani byli też amatorzy piwa, albowiem ze względu na brak zboża ograniczono jego produkcję. Z powodu wojennych rekwizycji była podskoczyły gwałtownie ceny mięsa i żywego inwentarza. Na jarmarku na Kalinowszczyźnie za krowę żądano przeciętnie 600 rubli, za świnie do karmie-

Dokończenie na str. 4-5

JERZY DOSTATNI 1914 - 1978



25 czerwca 1978 r. zmarł sekretarz redakcji „Kamena” Jerzy Dostatni. Piszemy o nim na str. 2.

GDY ktoś jedzie po raz pierwszy pociągiem relacji Warszawa — Bełżec, na stacji końcowej nie bardzo wie, w którą stronę wysiadać. Krzywy budynek udaje dworzec, peronu żadnego nie ma, a perspektywę zamyka kilka przyszczytanych domów przy szosie E-81.

Natura bogato wyposażyla Bełżec. Lasy, jeziora, łąki, strumyki, źródła, z którego, jak opowiadają starzy ludzie, napił się kiedyś wody niemiecki generał i tak mu posmutkowała, że kilka butelek wysłał rodzinie do Rzeszy. Wiedzie zresztą tedy czerwony szlak turystyczny od Zwierzynca przez Roztoczański Park Narodowy, Susiec aż do Bełżca, słynnego nie tylko z pięknego krajobrazu, ale i z walk partyzanckich, kurhanu usypanego w czasie najazdów tatarskich i najstarszego budo-

W Bełżcu ładna natura

Małgorzata Sawicka

krzewem jest, a drzewem i te 280 lat tak go zmoczyło, że podparty drągiem z wolna dogorywa na skraju ulicy Partyzantów, rozlanej bajorami między opłotkami. Turysta łatwo odszuka ten pomnik przyro-

dy w przewodniku. Miejscowi ludzie przewodników nie czytają, więc o istnieniu jałowca wiedzą w Bełżcu tylko tacy, jak Mieczysław Dudziński, co poza pracą zawodową i społeczną w Gminnej i Wojewoda-

kiej Radzie Narodowej potrafi jeszcze uszczknąć trochę czasu na zbieranie pamiątek i materiałów historycznych, dotyczących rodzinnej osady.

To on do ostatniego utrudzenia włożył mnie po wawozach, pokazywał mogiły partyzanckie i miejsce w byłym obozie zagłady, gdzie go omal, wtedy ośmiolatka, nie zastrzelił pod koniec wojny strażnik. To on odkrył mi urok drewnianej cerkiewki i baśniowego zgoła jeziora na Młynkach, gdzie planuje się wybudowanie ośrodka wypoczynkowego i już piętrzą się tam zwaliny rozrytej ziemi, już wyłobiony jest teren pod zalew. Wbrew entuzjazmowi mojego przewodnika razili mi oczy te zwiastuny zagospodarowania, bo coś mi się wydało, że u-

Dokończenie na str. 4-5

POLAK W KOSMOSIE

SZPALTA
O SPORCIE

DLA piśmi ukazującego się raz na dwa tygodnie, dla piśmi, którego harmonogramu druk znacząco odbiega od harmonogramu druku dziennika jest to wiadomość „ostatniej chwili”: POLAK W KOSMOSIE!

Stało się to 27 czerwca 1978 roku. O godzinie 18.27 czasu moskiewskiego w Związku Radzieckim wystrzelono statek kosmiczny — „Sojuz-30” pilotowany przez międzynarodową załogę w składzie: dowódca statku, dwukrotnie Bohater Związku Radzieckiego, lotnik-kosmonauta ZSRR Piotr Klimuk oraz kosmonauta-badacz, obywatel PRL, Mirosław Hermaszewski.

W dzień później, 28 czerwca o godz. 20.07 czasu moskiewskiego, Mirosław Hermaszewski zameldował o zetknięciu się statku kosmicznego „Sojuz-30” z zespołem orbitalnym „Salut-6” — „Sojuz-29”.

17 lat temu z okazji Święta Odrodzenia gościliśmy w Polsce pierwszego kosmonautę radzieckiego Jurija Gagarina. W czasie spotkania z polskimi lotnikami otrzymał zaszczytny tytuł Honorowego Pilota

Jednostki. Powiedział wówczas: Zdaję sobie w pełni sprawę z faktu, że odznaka pilota wojskowego lotnictwa polskiego jest symbolem odwagi i wierności ojczyźnie. Przyjmę ją jako wyraz uznania dla ludzi radzieckiej nauki i techniki, którzy stworzyli wspaniały statek, jakim jest „Wostok-1”, na którym odbyłem lot kosmiczny dookoła Ziemi. Przypuszczam, że Wasi lotnicy też kiedyś polecą w Kosmos.

Słowa te sprawdziły się. W przeddzień 34 rocznicy Wyzwolenia, w roku 35-lecia powstania Ludowego Wojska Polskiego major Mirosław Hermaszewski, jako pierwszy Polak, znalazł się ponad Ziemią.

Jerzy Korejwo, komentator PAP, przypomina z tej okazji, że nazwiska Polaków zapisane są na trwale w księdze osiągnięć tych dziedzin nauki i techniki, które dziś skupiają bądź wykorzystują kosmonautykę.

W gronie największych uczonych świata znalazł się Mikołaj Kopernik — genialny astronom. Duże zasługi w rozwoju techniki raketowej położyli Kazimierz Siemianowicz w XVIII wieku (pierwszy w świecie opis rakiet wielostopowej) i Józef Bem w XIX wieku. Synem polskiego zesłańca był Konstanty Ciolkowski — ojciec radzieckiej kosmonautyki i jeden z tych ludzi, którzy myślą swą wyprzedzili współczesność. W Sieradzu w Polsce urodził się też teo.etyk lotów kosmicznych

— Ary Sztternfeld (w swoim czasie „Kamena” przeprowadziła z nim wywiad).

Tradycje te kontynuuje dzisiejsze pokolenie polskich uczonych. Badania kosmiczne od 1947 r. rozwijają się w naszym kraju w szerokiej współpracy międzynarodowej — w ścisłym powiązaniu ze wspólnym programem badań krajów socjalistycznych „Interkosmos”.

Przedstawmy te badania w telegraficznym skrócie: badania rentgenowskie Słońca przy pomocy rakiet geofizycznych „Wertikal-1” i „Wertikal-2”, eksperyment z blokiem emulsji jądrowej na satelicie „Interkosmos-6”, eksperyment radioastronomiczny na satelicie „Kopernik-500” — stanowiący, przed lotem mjr. Hermaszewskiego, najpoważniejsze polskie przedsięwzięcie kosmiczne, prace badawcze w zakresie fizyki kosmicznej. Inne rozwijane w Polsce dziedziny kosmicznej wiedzy to geodezja i meteorologia satelitarna, teledetekcja, biologia i medycyna kosmiczna.

Rozległy program wzmoczenia w naszym kraju badań kosmicznych opracował Komitet do spraw Badań i Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej PAN. Program ten zaakceptowały władze państwowe. Realizacja tego programu i koordynacja w skali ogólnopolskiej zajmuje się Centrum Badań Kosmicznych PAN.

sześcioletnim powiększeniu pisma jest i Twoja niepodważalna rola.

Byłeś dziennikarzem z powołania, uparcie zbierałeś materiały, pisałeś, pisałeś wiele do ostatniej chwili przed ciężką chorobą. Musiałeś pisać, bo dziennikarstwo było Twoim żywiołem. Twoja natura była taka, że jak zdobyłeś temat, obojętne jaki, uważałeś, że właśnie Ty musisz go ująć w artykule. Ze Ty to zrobisz najtrafniej, i w tym pisarstwie byłeś uparty, wracałeś do spraw dawnych, dążyłeś do tego, aby Twoja racja okazała się zwycięska. Nie sądzę, abyś czuł się źle w klimacie „Kamena” — tu pracowałeś najdłużej ze wszystkich redakcji — zawsze darzyliśmy Cię szacunkiem i sympatią, ale wszyscy, i Ty sam zapewne, wiedzieliśmy, że Twoją pasją jest dziennik, a nie dwutygodnik, że chciałybyś, aby artykuł napisany dziś, już jutro dotarł do rąk czytelnika, aby krytyczna notka nie straciła na aktualności, aby w porę trafiła do adresata. Zaplanowany artykuł wolałeś oddać wcześniej niż dzisiaj, dzisiaj niż jutro. [...] Najbardziej cieszyło Cię to, że jesteś potrzebny i nigdy nie wyobrażałeś sobie, jak wytrzymasz na zasłużonej emeryturze. A mogłeś przejść na nią przed trzema laty! Nikt z nas nie śmiał Ci tego jednak proponować, bo dziennikarstwo było Twoim życiem.

Poza „Kamena” pracowałeś dawniej i w dwóch lubelskich dziennikach. O szacunku, jakim cieszyłeś się w środowisku dziennikarskim, mogły świadczyć chociażby wybory do władz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, zawsze znajdowałeś się w czołówce, uzyskiwać w głosowaniu zdecydowaną większość głosów. Jakże byłeś z tego dumny! I słusznie — uznanie własnego środowiska jest zawsze największą nagrodą.

Ale cenili Cię wszyscy, którzy Cię znali osobiście, lub jedynie z publikacji. Ja sam Twoją książeczkę z gatunku „Tygrysa” — „Na tyłach wroga” przeczytałem jednym tchem, kolega Zygmunt Mikulski widział w niej gotowy scenariusz filmowy.

[...] Pisałeś o wojnie, ale i sam brałeś w niej czynny udział, poruczniku Dostatni, odznaczony Srebrnym Medalem „Zasłużonym na polu chwały” i Medalem za Warszawę Biuletyn Batalionów Robotniczych Obrony Warszawy w pamiętnym Wrześniu 1939 roku, na trwałe związałeś się z Twoją osobą, tak jak i później, w Powstaniu Warszawskim,

sławna „Barykada”. Michał Wojewódzki w książce o podziemnych drukarniach Warszawy nie zapomniał o Tobie. Jak mogłeś służyć Ojczyźnie w jej najtragiczniejszych chwilach. A po wojnie, wydając dla żołnierzy i oficerów polskich, którzy jak i Ty znaleźli się na Zachodzie, specjalny biuletyn, a właściwie powielane w kilkuset egzemplarzach pismo, w jakimś niewyliczalnym przecięciu, sposób przyczynił się do tego, że wielu spośród tych zagubionych ludzi odnalazło drogę do Polski.

[...] Wróciłeś do kraju i od razu rzuciłeś się w wir pracy dziennikarskiej, jakże innej od dzisiejszej! Chwilami musiałeś być nie tylko redaktorem, ale i kolporterem, sam, na rowerze, był taki czas, rozwodziłeś „Robotnika Szczecińskiego” do szczecińskich kiosków. Po Szczecinie nastąpił Wrocław, praca w „Naprzódzie Dolnośląskim”, później Poznań i „Gazeta Poznańska” w stadium organizacji i wreszcie Lublin — już ta Twoja przystań ostatnia.

Z Ziemią Lubelską związałeś swoje losy. Obok wielu artykułów przygotowałeś dwie pozycje książkowe mówiące o dorobku tej ziemi. Twój trud został doceniony. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Zasłużony dla województwa. Zasłużony dla Lublina. Laureat Nagrody m. Lublina.

[...] Dziś, kiedy tak wiele mówi się o rodzinie, kiedy narodziny 35-milionowego Polaka stały się niemal narodowym świętem, muszę — wybaczyć to, Jurku, bo to sprawy jak najbardziej osobiste — powiedzieć za co ceniliśmy Cię jednak najbardziej. Właśnie za troskę, jaką zawsze otaczałeś swych najbliższych, za uczucia wielkiego przywiązania do Małżonki — Ul, do córek — Danusi i Krysii, a później do wnucząt.

Osiem lat temu zęgnąłem na zawsze Matkę, pięć lat temu, na tym cmentarzu, Ojca, i wiem, że są chwile, kiedy człowiekowi zdaje się, że wala się na niego Himalaje. Człowiek musi być jednak silny. [...] Zęgnaj, Jurku. Zęgnaj tym razem na zawsze. Niech ta Ziemia Lubelska przygarbnie Cię jak najcieplej.

Przy dźwiękach orkiestry wojskowej, w strugach ulęwnego deszczu, trumnę spuszczonego do grobu. Święta mogiła pokryta wieńcem wśród nich — od lubelskich redakcji i od załogi FSC (Zmarły miał honorową odznakę tego największego zakładu przemysłowego Lublina) oraz wianki kwiatów.

MISTRZOSTWA świata w piłce nożnej mamy już za sobą. Przeszedłszy 75 godzin przy telewizorach, włączając też od czasu do czasu odbiorniki radiowe, by wiedzieć, co dzieje się na innych stadionach. Gdy Holendrzy wygrywali z Włochami, co wydawało się jednoznacznie z wyeliminowaniem tych ostatnich z finałowych rozgrywek, piłkarze RFN toczyli dramatyczną walkę z outsiderami grupy, Austriakami. Kiedy już było niemal pewne, że dzięki remisowi będą walczyli o trzecie miejsce, padła bramka dla Austrii, która stworzyła drogę do finału... Włochom.

Mistrzostwa świata, zwane „Mundial 78 Argentina”, zakończyły się sukcesem gospodarzy. Argentynczyści pokazali futbol doskonały. Południowo-amerykańscy wirtuozi piłki obok świetnej techniki zademonstrowali też bardzo dobrą taktykę. Bojowy atak dopełniała prawie bezbłędna obrona. A potrzebne im po remisie z Brazylią bramki, decydujące o pierwszym miejscu w grupie, strzelali jak na zamówienie w spotkaniu z Peru.

Finałowe spotkanie, jak było do przewidzenia, stały się konfrontacją futbolu europejskiego i południowo-amerykańskiego. W walce o trzecie miejsce też wygrali Latynosi. Włosi po zdobyciu prowadzenia przeszli do „catenaccio” i to ich zgnębiło. Brazylija przełamala obronę Włochów i bezpośrednia konfrontacja zakończyła się podwójnym zwycięstwem piłkarzy południowo-amerykańskich.

Piłkarze polscy i RFN zajęli trzecie miejsca w grupach. Do nich więc należy 5 i 6 miejsce na świecie. Czy to dużo, czy mało? Marzyliśmy o medalu, ale i piąte miejsce nie jest złe! Nie jest złe, by przy grze, jaką zademonstrowali Latynosi, zobaczyliśmy, że samą taktyką wyżej zajść nie można. Może gdyby Brazylija i Argentyna nie znalazły się w tej samej grupie, co Polska, finał rozegrałby się między nimi, a nasi piłkarze walczyliby o trzecie miejsce. Ale „gdybać” można na wiele tematów: gdyby grał Gorgoń i potrafił powstrzymać ataki Kempesa w meczu z Argentyną, gdyby Boniek wcześniej został wprowadzony do gry, gdyby inny egzekutor karnego wykorzystał go... Ale „gdybanie” nie zmieni tego, co już jest historią.

Na tle drużyn latynoskich i tych mistrzowskich i tych słabszych — Peru i Meksyku, z którymi drużyna polska wygrała, a także Tunezji reprezentującej podobny sposób gry, obejrzałyśmy Polaków. Pokazali oni swoje wysokie umiejętności i świetną taktykę, ale też pokazali, co brakuje im, w czym przewyższają ich przeciwnicy.

Już dziś w większości komentarzy powtarza się zdanie: „żeby wygrać trzeba strzelać”. Nasi strzelają za mało i to powinno stać się tematem numer jeden naszych szkoleniowców. Nie można też nie widzieć tego, że w walce o górne piłki nasi nie za często są zwycięzcami. Zawodzi gra główkami i start do piłki niczyjej. A więc wyżej skakać i szybciej biegać powinni nie tylko napastnicy, lecz i druga linia. I wreszcie podstawy piłkarskiego abecadła: stopowanie piłki i krótki drybling przy nodze. Zbyt często piłka zastopowana przez naszego piłkarza nie zostaje przy jego nodze, ale odbita staje się lupem przeciwnika. To samo dzieje się z piłką prowadzoną, gdy wypuszcza się ją sobie na zbyt długi „for”. Tego nie nauczyli piłkarzy reprezentacyjnych trener kadry. To muszą oni ćwiczyć na co dzień w klubach.

Zostawmy jednak problemy szkoleniowe fachowcom. Bezpośrednia konfrontacja piłki polskiej z wirtuozami z innych kontynentów dostarczy na pewno wiele materiału do analiz. A pamiętajmy, że z sześciu spotkań z Argentyną Polacy tylko raz grali z drużyną europejską, a pięć razy z drużynami pozaeuropejskimi. I w sumie ta konfrontacja wypadła nie najgorzej.

JUREK

CZYTELNICZY „Kamena” zauważyli, że od ponad pół roku Jego nazwisko widniało jedynie w stopce redakcyjnej. A przecież w ciągu ostatnich jedenastu lat nie było prawie numeru „Kamena”, w którym Jerzy Dostatni nie opublikowałby artykułu. Pisał głównie o tematyce gospodarczej, szczególnie zajmował się budownictwem, ale nie były mu obce również tematy związane z kulturą, obyczajowością, a także relacje z redakcyjnych dyskusji dotyczące ważkich problemów współczesności...

Jerzego Dostatniego nie ma już wśród nas. 28 czerwca 1978 roku spoczął w Alei Zasłużonych na Cmentarzu przy ul. Obrońców Pokoju w Lublinie. W imieniu lubelskiego oddziału SDP pożegnał Zmarłego red. Stefan Ziemiński a w imieniu zespołu „Kamena” i swoim własnym — red. Marek Adam Jaworski. Powiedział on m. in.:

„Poznałem Cię, Jurku, a byłeś wówczas dla mnie panem Jerzym, lat temu prawie trzydzieści w „Sztandarze Ludu” [...] Ty — doświadczony dziennikarz, od 1934 roku w zawodzie, ja — student stawiający pierwsze kroki w tym nietłętym fachu, czeladnik pióra. Przez prawie trzy lata byłeś jako sekretarz redakcji moim bezpośrednim szefem, pomagając mi lepiej poznać tajniki pisarskie i drukarskie. Drukarskie — niezmiernie ważne, bez drukarza dziennikarz jest niemy. Po siedemnastu latach role się odmiennie — ja stałem się Twoim bezpośrednim szefem. Byłoby nieprawdą, gdybym twierdził, że zawsze we wszystkim i ze wszystkim zgadzaliśmy się. I dobrze, że tak było. W codziennej pracy raz ja ustąpiłem Tobie, raz Ty mnie. W dyskusjach, niekiedy dość zażartych, rodził się model pisma — współczesnej „Kamena”. I w tym

KSIĄŻECZKA nosi tytuł „Zaginiony skarb z Marsa” — jest rękopisem, nie bardzo jeszcze wprawnym charakterem pisma, ale za to bogato zdobioną kolorowymi ilustracjami. Wydano ją na grubym, szorstkim papierze rysunkowym, oprawiono pieczętowlitą w okładkę z brązowego papieru do pakowania, grzebiot przeszyto na maszynie krawieckiej czarnej nitką. „Zaginiony skarb z Marsa” ukazał się jako kolejny tom serii „Nowe powieści”, a autorem był Leszek Siemion. Książeczka wyszła w... jednym egzemplarzu pod koniec lat trzydziestych i choć w zasadzie należałoby ją zaliczyć do gatunku science fiction, to rozpoznać się w sposób całkiem „realistyczny”, oddający — może bezwiednie — atmosferę czasów w jakich przyszło żyć wówczas dorosłym i niedorosłym Polakom.

Na świecie czudło było wojnę — pisał dwunastoletni wtedy autor i zarazem „oyrektor wydawnictwa”. — Wskazywały to i gorączkowe zbrojenia na lądzie i morzu i coraz bardziej naprężone stosunki między Anglią a Niemcami. I wreszcie bomba pękła. [...] Niemcy innej drogi do Anglii nie mając [...] równocześnie chcą zaatakować Anglię nie spodziewanie, wynajęły całą masę wielkich i mniejszych statków pasażerskich chcą niemi kilkadziesiąt tysięcy swoich żołnierzy przewieźć do portu Newcastle. [...] Ale „Intelligence Service” pracował... [...] Anglia wysłała nad Morze Północne flotę powietrzną i zbombardowała wszystkie obce znajdujące się na tym morzu okręty. I rozszalała się burza jakiej nie widział świat. Śmierć miała swoje zntwa...

Tekst został opatrzony malunkiem potężnego pancernika z lufami armat skierowanych prosto na czytelnika... Jakby moment... tuż przed salwą, która pierwszego wrześniowego poranka 1939 r. miała uderzyć w Westerplatte...

Leszek Siemion pisze dzisiaj książki na temat wojny, kampanii wrześniowej i ruchu oporu na Lubelszczyźnie i myśli, że już wtedy, przed czterdziestu laty, musiały w nim kiełkować właśnie zainteresowania historyczno-publicystyczne. Choćby większość jego przedwojennych „publikacji” poświęcona była problematyce Dzikiego Zachodu, przygodzie, podróży oraz humorowi...

Prywatne wydawnictwo braci Siemionów działało aktywnie i regularnie od drugiej połowy lat trzydziestych do pierwszych lat okupacji. Mieściło się w Krzczonowie, w domu miejscowego kierownika szkoły powszechnej, Mikołaja Siemiona, a wydawcami i autorami byli zazwyczaj czterej najmłodsi z siedmiu braci Siemionów: Leszek, Wojciech, Stanisław i Ignacy, zwany w domu Zenkiem. Spód ich piór, ołówków i kolorowych kredek wychodziły przez szereg lat sterty starannie redagowanych „książek” i „pism” — jak wspomnianą już serią „Nowe powieści”, gazetka „Defilada”, piśmisko „Humoreski” czy też cykliczny komiks: „Przygody Klipusia Brzdąca i Felusia Długorękiego”, różne „Tajemnice wyspy” Wojciecha Siemiona, „Tajemnice piratów” Leszka Siemiona, czy też jakieś abstrakcyjne „KHAEO” — zresztą złożone z samych tylko ilustracji — Zenona Siemiona. Dopiero po wielu latach tajemnica „KHAEO” wyjaśniła się: profesor uniwersytetu im. Bolesława Bieruta wyznał swojemu bratu, byłemu „dyrektorem”, red. Leszkowi Siemionowi, że był to jedyny zestaw liter, jakie w owym czasie potrafił narysować...

Jeżeli pięciu z żyjących dzisiaj braci Siemionów może legitymować się niebanalnymi osiągnięciami naukowymi lub artystycznymi, jeżeli o wszystkich siedmiu można powiedzieć, że byli i są ludźmi oddanymi sprawom patriotyzmu, walki o niepodległość, że są społecznikami i postaciami... niecodziennymi, to zasługa w tym przede wszystkim — jak twierdzi Leszek Siemion — domu rodzinnego. Rodzinnej tradycji, postawy obywatelskiej i wychowawczej rodziców. I zasługa książki. Dobrze książki — Mikołaj Siemion podsuwał ją synom od ich wczesnego dzieciństwa. Dobra książka określała charakter domu wiejskiego nauczyciela, leżała prawie na każdym sprzeczku, brała się ją do ręki rano i wieczorem. Szczególnie wieczorem, kiedy zaczynały się jarzyć światła nafotowych „kopciuszków”...

Chłopcy czytali w ciągu roku po dwieście książek — i to nie były jakichś w bibliotece ojca leżały tomy „Dziejów porobiorowych narodu polskiego”, wydane przez bibliotekę „Tygodnika Ilustrowanego”, a wśród nich „Zywoł Józefa Wybickiego”, „Zywoł ks. Adama Jerzego Czartoryskiego”, „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III” pióra Hugona Kollataja; były grube woluminy „Historii Literatury Powszechnej” Juliana A-

doła Świątcickiego, stały na półkach „Boje Polskie” i cały szereg innych książek historycznych, z dziedziny literatury pięknej, ekonomicznych. Ojciec i synowie zaczytywali się z równie wielkim zapalem w „Przewrocie umysłowym w Polsce wieku XVIII” Władysława Smoleńskiego jak zgłębiali ekonomiczne „Życie wyteżone” Teodora Roosevelta. „Nie co innego jak książka była w naszym domu metoda wychowawcza” — powie po latach Leszek Siemion. „Ojciec sam był zapalonym czytelnikiem i może często portek nam nie kupił, ale książek dał nam dość. Jako kilkunastoletni chłopiec czytałem dzieje Tristana i Izoldy, ale ojciec nie bronil mi również Rabelaisa. Nie był w tym względzie purytaninem. W ogóle miał poglądy niekonwencjonalne. Mawiał do nas na przykład: „Nie ma słów brzydkich ani ładnych. Są tylko użyte w niewłaściwym momencie”. Był ateistą, lecz jako nauczyciel musiał prowadzić co niedzielą dzieci szkolne do kościoła. Wykonywał swój obowiązek, ale sam instalował się w zakrystii i w

czasie mszy czytał książki. Jego radykalne, lewicowe poglądy... Jeden z proboszczów wysłał list do województwa okraszając Mikołaja Siemiona jako „czerwonego”. To nie było bezpieczne... Lecz były wojewie PPS, sierżant 5 pp Legionów — „Zuchowaty” pozwoliłby sobie w kaszę dmuchać? Ostatecznie obydwaj pozostali na swoich miejscach: i nauczyciel i ksiądz”.

Myśl niepodległa, postępująca tradycja rodzinna, dobra książka wyznaczały linię wychowawczą w domu Siemionów. Tym chętniej rodzice patronowali swojemu hobby synów: „oficynie wydawniczej”. Podsuwali pomysły, dyskutowali o jakości kolejnych „dzieł”, sami pomagali w ich produkowaniu. Apolonia Siemionowa mimo lat wojny, nieszczęść, jakże odwiedziły rodzinę, mimo przeprowadzek, zdołała do dzisiaj przechować znaczną część książeczek i piśmisk z „wydawnictwa Siemionów”.

Zbiór unikalny i chyba jedyny w swoim rodzaju w Polsce. Ponad pięćdziesiąt barwnych zeszytów dających odbicie tego, jak się żyło, co się myślało, jak się wychowywało dzieci przed laty ponad czterdziestu w wielu postępowych, prowincjonalnych rodzinach inteligentnych, mocno wspierających się o swój wiejski rowód. Czasem obok opisu krwawej walki Indian z kowbojami, obok opowieści o Janie z Kolna, wypłynęły nagle opisy przyszłej wojny światowej, mały Wojtek Siemion rozwiedzi się nad zagładą wsi Krzczonów, a Zenek spróbuje oddać bezmiar niemieckich bestialstw nad mieszkańcami... Australii. W miarę upływu okupacji będą znikły „Humoreski”, a pojawi się „Mały Ster” — swoista transpozycja „pomocy szkolnej”, cyklicznie wychodzącego „Steru” przeznaczanego dla uczniów szkół podstawowych...

Mikołaj Siemion lubił robić notatki, zapisywać przemyślenia wyniesione z lektur, najczęściej i najchętniej na wolnych kartkach, lub na marginesach książek, które mu akurat wpadły pod rękę. Na pierwszej stronie zachowanej w rodzinie „Historii Literatury Babilońsko-Assyryjskiej i Egipskiej” z 1901 r. widnieje pożytki już zapis: „Dokonał się szerszy i stał. Człowiek nie staje się szerszym jeśli nie staje się lepszym. [...] Obowiązki obywatela: Posłuszeństwo prawu, obywatel winien pomagać i współdziałać prawu. Prawo nakłada obowiązki na obywatela: 1) Obrona ojczyzny. 2) Ponośnienie należnych ciężarów przez prawo Ludu. 3) Poparcie sprawiedliwości. 4) Zgadzać się na poświęcenia, których wymaga dobro ojczyzny lub użytek ludu”.

Na pierwszym miejscu: „obrona Ojczyzny”. To musiało dla Mikołaja Siemiona znaczyć również: „walka o jej

niepodległość”. Wyrastał w tym względzie z najlepszych tradycji: dziadek Mikołaja, rolnik ze wsi Ratoszyn pod Chodiem, wstąpił w 1863 r. wraz z synem Antonim do partyzanckiego oddziału leśniczego Wagnera. (Nazywano ich jeszcze wówczas Siemionki, dopiero później Antoni, ukrywając się przed Moskalami, przekształcił nazwisko na Siemion). Stary zginął w potyczce pod Kraczevicami — leży tam we wspólnej powstańczej mogile — a wzięty do niewoli Antoni przeżył, bo kozackiemu esaulowi też się zrobiło osiemnastoletniego powstańca.

Syn Antoniego, pierwszy z Siemionów, wyszedł ze wsi do miasta: Mikołaj na początku stulecia chodził już w Lublinie do nowo powstałego gimnazjum im. Staszica. Tak jak dziadek i ojciec wdał się w robotę niepodległościową... Późniejszy nauczyciel z Krzczonowa, jako młody chłopak, wstąpił do Organizacji Bojowej PPS. Po przeprowadzonym wraz z Lełkiem-Sową zamachu na lubelskiego poliemastra musiał uciekać do Ameryki. Zabrał ze sobą w

świat „Śpiewnik rewolucjonistów” i przez całe lata książeczka w czerwonej okładce towarzyszyła mu w podróżach, w bojach i w codziennym, domowym życiu. Był w Ameryce doklerem, robotnikiem rolnym i może nawet wrośliby w tamto życie, gdyby nie I wojna światowa.

Na wieść o tworzącym się w zaborze austriackim wojsku polskim Mikołaj Siemion rzucił wszystko, za ostatnie pieniądze dotarł do Krakowa i wstąpił do Legionów. Kiedy oddziały ubranych w „szary strój” żołnierzy zajmowały Urzędów, pojawił się nagle — w mundurze i przy broni — w rodzinnej wiosce. Aby... od zrozpaczonego ojca wysuchać wymówki: „coś ty, przyjechał z Ameryki synów mi zabijać?” Dwaj bracia Mikołaja zostali wzięci do carskiej armii i teraz... synowie styczniowego powstańca byli zmuszeni zwrócić przeciwko sobie broń. Oto typowy konflikt owych czasów!

Kiedy w Lublinie powstał rząd Daszyńskiego, Mikołaj Siemion objął niepoślednie stanowisko w ministerstwie szkolnictwa. Legionista niepokorny, człowiek wrażliwy na krzywdę społeczną, długo jednak miejsca w administracji nie zagrzał. Na początku lat dwudziestych jał się kształcenia młodych umysłów w podlubelskim Krzczonowie i — jak się już rzekło — rzadko mu się zdarzało karnie chodzić przy rządowym dyszlu.

„Zgadzać się na poświęcenia, których wymaga dobro ojczyzny lub użytek ludu...” — W tym duchu wychowywał synów: najstarszy, Maksymilian, student prawa, zaginiony po wojnie bez wieści, związał się w czasie okupacji z konspiracyjną PPR, a w 1944 r. został sekretarzem partii na powiat Lublin. Następny syn — Lucjan, dzisiaj prawnik i doktor ekonomii, brał udział w tajnym nauczaniu. Bogusław Siemion — rocznik 1923, uczeń Gimnazjum im. Jana Zamojskiego w Lublinie, żołnierz BCH, zginął z bronią w ręku niedaleko Krzczonowa w 1943 r. w czasie wykonywania zadania konspiracyjnego. Leszek Siemion o trzy lata młodszy od Bogusława, dziecko-jeszcze gdy rozpoczynała się wojna, zakończył ją jako młodzieniec z bechowskim stażem partyzanckim. Trzej najmłodsi synowie Mikołaja Siemiona: Wojciech, Stanisław i Ignacy-Zenon nie zdążyli dorosnąć do karabinu, ale zdołali już być pokoleniem, na którego dzieciństwie zawazyła wojna.

Na pierwszym miejscu: „obrona Ojczyzny”. W 1939 r., w dniach Września, ojciec dzielił się czym mógł z wojskowymi i cywilami ciągnącymi w odwrocie przez Krzczonów (przez dom Sie-

mionów przewiał się wtedy m. In. Adam Polewka), a gdy nastąpiła okupacja jako jeden z pierwszych w okolicy wstąpił do organizacji podziemnej, Komenda Obronców Polski, Związek Walki Zbrojnej. W marcu 1940 r. został aresztowany. W czerwcu — zwolniony. Ale w cztery miesiące później znowu trafił na Zamek, w stamtąd wywieziono go na zawsze do Oświęcimia.

Pierwsza okupacyjna Wigilia bez ojca... To chyba wtedy, w czasie smutnych zimowych wieczorów, w redagowanym domowym „wydawnictwie”, któryś z braci kaligrafował opowieść „O królu Herodzie co z szopki uciekł”. Przypominały się przedwojenne, dobre czasy: choinka, świąteczki i wieczera w pełnym, rodzinnym gronie:

„A ja owczareczek pilnuję owieczek żeby nie zbłądziły wśród górskich ścieżeczek. Jakbym doznał cudu dudu, dudu, dudu.”

Hej przygrywam ja na kobzie i tak mi na świecie dobrze.

— Przystańcie już śpiewać, bo znieść tego nie mogę! — krzyknął nagle Herod i tupnął nogą w szopkową podłogę. — Hej Królu, panie, zawadza ci śpiewanie? — pytają kukiełki. A król Herod jak nie wrzasnie: — Nie odzywajcie się do mnie, nie chcę się z pastuchami zadawać. Idę sobie od was w świat [...]

W rok po aresztowaniu Mikołaja Siemiona — od kilku miesięcy ojciec przebywał już w Oświęcimiu — Wojtek Siemion pisał i rysował nową gazetkę. Nosiła tytuł — „Nigdy nie widziana — 1909 — Gazeta Ilustrowana” i datę: środa, 26 listopada 1941 r. Chłopcy próbowali wyobrazić sobie jak będzie wyglądał świat w przyszłości. Jak będzie wyglądała Polska, ich rodzinną miejscowość... „Po wielkich wojnach jakie trwały od r. 1939 do 1949 r. nastąpiło wielkie wyniszczenie ludności świata. Ledwie kilkaset tysięcy tułosi się po górach i borach. [...] Mała osada ludzka złożona z 4-ech chat, które zamieszkiwało 6 kobiet, 3 dziewczęta, 5 mężczyzn, 4 chłopaków i 7 dzieci, rozłożona była nad małą rzeczką w tym mniej więcej miejscu, gdzie kiedyś przed laty rozpościerała się wieś Krzczonów — niedaleko Lublina. Żadnych dziś tego nie było śladów [...]

Apokaliptyczna to wizja. Tym bardziej tragiczna w wymowie, że rysująca się jako coś nieuchronnego i jakby... oczywistego — w wyobraźni trzynastoletniego chłopca.

Ale otuchy trzeba szukać na dalszych stronach gazetki: tam, gdzie mimo wszelkiej okropności wojny dochodzi znowu do głosu chłopięca wyobraźnia, wiara w piękno życia, nadzieja na spotkanie wspaniałej przygody. Znowu snują się opowieści o Indianach, kowbojach i poszukiwaczach skarbów. Aż przychodzi ostatnia strona. Z tytułem: „Inne koleje powstania 1863 r.”... „Droga do Modlina maszerował oddział wojska. Liczył on 240 piechoty i 20 kozaków, którzy jechali przodem. Dowodził kolumną ppłk Koźłaninow. Wysłany on był dla łapania „buntowszczyków” wódczących się po okolicy...”

Jakby refleks historii rodzinnej: historii ratoszyńskiego pradziada i dziadka Antoniego... Może fragment jakiejś zapomnianej opowieści powtarzanej w styczniowe wieczory przez ojca... Charakter pisma równy, delikatny, kobiecy... Może to już matka przejmowała patriotyczną opiekę nad synami, przypominając o niepodległościowej tradycji, krzepiła myślą, że i z klęski potrafi narodzić się zwycięstwo?

Z pięciu pozostałych przy życiu braci Siemionów wyrosło trzech naukowców, jeden pisarz-publicysta i jeden aktor, którego imię i nazwisko znane jest w całej Polsce. Wszyscy są autorami książek kontynuując niejako tradycję „prywatnego wydawnictwa braci Siemionów”. Zdarzają się też nadal między nimi momenty swoistego współzawodnictwa: kiedy Ignacy-Zenon, biochemik, absolwent Uniwersytetu im. Lomonosowa w Moskwie opublikował w 1968 r. w „Omedze” pierwszą książkę — „Perspektywy chemicznej syntezy białek”, przesłał ją dawnemu „dyrektorem” wydawnictwa, Leszkowi Siemionowi, z dedykacją: „Lechu! Mamy więc teraz wynik 1:1. Czekał na Ciebie — Zenek.” „Od tej pory Leszek napisał sześć kolejnych książek. Po wydanej ostatnio — „Na wzgórzach Roztocza” leży już w maszynopisie „Miesiąc wyzwolenia Lubelszczyzny” — rzecz o lipcu 1944 r.

„Prywatne wydawnictwo” zaangażowane kiedyś przez wiejskiego nauczyciela z Krzczonowa — okazało się że wazech miar słuszną inwestycją.

SAGA

RODU SIEMIONÓW

Mirosław Dorocki

Dokończenie ze str. 1

nia — do 120, za wieprza tuczonego żywej wagi — od 100 do 150 rubli. Ale jak to bywa podczas wojen i okupacji, biedni schodzili na dno nędzy, natomiast ludzie obrotli i spekulanci zbijali majątki. W powiecie lubelskim działały na początku 1918 roku 72 młyny wodne i turbinowe, osiem motorowych i dwa parowe. Piekarń było 52, fabryk cukierków — 18, wytwórni marmolady, ciast, konfitur i kwasów owocowych — 18, wody sodowej — osiem. Ponadto funkcjonowały w Lublinie: cukrownia, fabryka cykori i palarnia kawy, cztery gorzelnie, trzy miodosytnie, jedna olejarnia, sześć browarów (1), fabryki octu, wódki i likierów, pasty do obuwia, tytoniu, wosku, świec oraz dziewięć wytwórni wędlin. Uruchomiono poza tym fabrykę sztucznego miodu. „a to z powodu wysokiej ceny naturalnego miodu”.

Najbardziej przy tym znamienne, że pokaźna liczba z tych przedsiębiorstw przemysłu spożywczego powstała właśnie w 1918 roku, w okresie, kiedy nikt w Europie nie mógł być pewien, jak potoczy się historia, czy Polska odzyska suwerenność państwową. Podpisano właśnie traktat pokojowy w Brześciu, na zachodzie Europy wojska Wilhelma były jeszcze Francuzów, na południu monarchia spadkobierców Franciszka Józefa zagarnęła rozległe terytoria Rumunii. Owszem, od 12 listopada 1917 roku istniała w Warszawie polska Rada Regencyjna, która rychło powołała pierwszy gabinet ministrów z Janem Kucharzewskim na czele, ale były to twory namaszczone przez cesarzy austriackiego i niemieckiego, którzy takimi gestami, jak i wcześniejszym proklamowaniem Królestwa Polskiego (1916), chcieli pozyskać Polaków dla swojej sprawy. Faktyczna władza — administracyjna i militarna — nadal znajdowała się w rękach zaborców. Przypomnijmy jeszcze, że po odmowie złożenia przez legionistów przysięgi na wierność państwu centralnym (lipiec—sierpień 1917 r.), nasze wojska zostały rozbrojone i internowane.

Mimo wszystko Polacy wierzyli, iż zbliża się moment odzyskania niepodległości i to przekonanie, potwierdzone aktywnością polityczną, projektowało życie codzienne obywateli, z których nie jeden, wykorzystując ponadto specyficzną koniunkturę czasu wojny, puszczal w ruch drobne fabryczki. Kwitła też spekulacja i handel walutą, połączony z przymytem twardego rubla za granicę Królestwa Polskiego, m. in. do Szwajcarii. Podczas katastrofy kolejowej w Sporniku koło Lublina zginęło pięciu pasażerów, a kilku odniosło poważne obrażenia, lecz zupełnie inna strona tego tragicznego w skutkach wypadku zbulwersowała opinię publiczną miasta. Oto bowiem na szychach nieboszczyków znaleziono przemyślnie ukryte woreczki z walutą, a „jeden z nich był jakby wywatowany cały rublami i wiózł z sobą ni mniej, ni więcej, jak tylko półtora miliona rubli” — obwieszczały gazety, dodając smętnie, że żandarmeria graniczna jakoś nie jest w stanie przyhamować przemytu. Widać bierze w łapę...

Ale na pozór życie miasta toczyło się normalnym rytmem. Teatr świetlny, czyli kino „Oaza”, zapraszał widzów na „niezwykle efektowny i ciekawy dramat z życia w pięciu aktach pt.: „Kto jest bez grzechu”, w „Teatrze Wielkim” oferowano publiczności „Damy i huzary”, „Zemstę”, „Wesołą wdówkę” i jakąś zupełnie błahą komedię, obiecując, że każdy spektakl zakończy „nieśmiertelny polonez z „Halki”, odśpiewany przez całe towarzystwo, i mazur w pięć

par”. Firma braci Będowskich — Krakowskie Przedmieście 22 — przesyłała swoim klientom życzenia noworoczne, szczęśliwi rodzice poszukiwali nianiek z dobrym świadectwem do swoich dzieci, a specjalista od hipnozy — osób wykształconych, znających francuski i niemiecki, które zechciałyby uczestniczyć w podniecających seansach. Ludzie bawili się, kabaretowy „Wesoły Ul” miał stałych bywalców, ale i „powszechnie wykłady uniwersyteckie” cieszyły się znacznym wzięciem obywateli, którzy chętnie wysłuchaliby na przykład prelekcji dr. Józefa Hornowskiego „Znużenie, odpoczynek, sen”, ozdobionej obrazami świetlnymi i urzędzonej także po to, aby dochodem z biletów wstępu wesprzeć prace konserwatorskie przy „starożytnych freskach w kościele Ś-tej Trójcy na Zamku Królewskim w Lublinie”. Jak wiadomo, renowacja bizantyjsko-ruskich malowideł do dziś nie została zakończona. Może dlatego, że sześćdziesiąt lat temu doktor Hornowski nie pojął się jednak w Lublinie, powstrzymany śnieżycą, która zablokowała linię kolejową z Warszawy.

Życie toczyło się zwyczajnie. Busko reklamowało w prasie nadbystrzyckiej swoje kąpiele siarczane, błotne, elektryczne, słoneczne i wodne oraz „wyborną (polską) kuchnię”, wabiąc kuracjuszy także tkimi atrakcjami, jak codzienne „koncerty włościańskiej kapeli symfonicznej pod batutą Królewskich, pp. Karola i Stanisława Namysłowskich”.

Również w Nalęczowie sezon zapowiadał się dobrze. Fatalna komunikacja, niesolidna nocza, brak urządzeń kulturalnych — te wszystkie cienie uzirowiska miały w 1918 roku rozlać się w „Teatru Polskiego artystów zjednoczonych”, wśród których pan A. Wzorzycowski był srecem od reżysiera poważnego, a pan A. Kaczorowski — od lekkiego.

Po dłuższej przerwie uławnili też swoje wartości malarze lubelscy, otwierając o dwunastą w styczniu południe wystawę obrazów profesora Hochenberga, państwa Wiercińskich, Boguskiego, Kuczyńskiego, Rakowskiego, Terpilowskiego, Barwickiego oraz artystów zamieszkałych: Gersona i Podpórskiego. Wśród licznie przybyłej publiczności zauważono kilka znakomitości, a to: Jego Eminencje gen. Pruszyńskiego, majora Daszyńskiego, kapitana Raczyńskiego, meresa Turczynowicza z żoną, panią Salkowską z córką, sędziego Wiercińskiego itd.

Protokół towarzyski obowiązywał, hierarchie społeczne rysowały się ostro, ale z biegiem czasu coś się w tym żelaznym układzie zaczynało zmieniać. Oto do renowowanej kawiarni w śródmieściu wtargnął jakiś plebej — absolutnie nie speszony miazdzącymi spojrzami doborowego towarzystwa, mało tego: wykazując wyraźną skłonność do dam wytwornych i kapeluszystych. Oto zastraszali dozorcę, domagając się polepszenia bezpieczeństwa i higieny pracy oraz cojkolwiek wyższych zarobków. Prasa niechętna „socialistom i wywołowcom”, a do takiej należał „Głos Lubelski” i „Ziemia Lubelska”, przyjęła te demonstracje świadomości klasowej z irytacją. „Ziemia” sunonowała, że u tych stróżów, którzy nie biorą udziału w strajku, pojawiają się „agitatorzy” przymuszający nieślubnych pałkami do solidarności z kolegami. Z pełną też satysfakcją donosiła o niepowodzeniu dwóch „delegatów”, którzy po nawiązaniu kontaktu ze służącymi, oczekiwani w pokaźnej kolejce po naftę, zaczęli namawiać Kasie i Marysie do porzucenia pracy, zachęcać do stawiania się chlebodawcom, bo teraz „panie powinny gotować, a Kasie zaimować się polityką”. Wydarzenia na wschodzie Europy niepokoiły mocno redaktora Daniela Sliwickiego, wydawcę gazety, która ukazywała się w dwóch edycjach: porannej i popołudniowej (10 i 6 halerzy egzemplarz).

Jako dramatyczny i wymowny znak czasu należał chyba uznać nowego rodzaju inseraty, które na łamach prasy lubelskiej zaczęli zamieszczać Polacy, poszukujący się po świecie. Widzowie kino-teatru „Panteon”, sympatycy warszawskiego kabaretu „Czarny kot”, który swoje „Koszulki opaki” prezentował w lokalu przy Krakowskim Przedmieściu 48, ludzie z niepokojem śledzący galopadę cen na podstawowe artykuły spożywcze, handlarze walutą, karakulowymi paltami i skunksowymi garniturami — prawie każdemu z nich wojna zabrała kogoś bliskiego, rzucając daleko od domu rodzinnego, albo pod ziemię. A z drugiej strony tamci, tulający się poza krajem, dawali znać o sobie, ogłaszając to np. na łamach „Dziennika Kłowskiego”, mieszkawskiej „Gazety Polskiej” czy „Kurierza Piotrogrodzkiego”. Różnymi drogami teksty te trafiały do gazet lubelskich.

„Wacław Boguszewski zawiadując swoją żoną Eugenią z córkami w Lublinie, że jest zdrow, mieszka w Odessie, na listy i depesze nie miałem od ciebie żadnej odpowiedzi, pierwsze ogłoszenie przesyłałem teraz. Ojciec z Jurkiem mieszkają w Kłowie, matka z Irenką w Kaniowie, Halinka w Bobruisku, Heniek w Babiłowie, Lutek w Czerkasach, a Staś na froncie. W imieniu wszystkich przesyłam Wam serdeczne uściśnienia”.

Oto jedna rodzina: rozstrzelona na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych, jak nerwowa seria z kulomiotu.

Im bliżej listopada 1918 roku, tym większy ruch wojkowych eszelonów na stacji lubelskiej, tym wyższe ceny. Jeśli w połowie stycznia kwarta nafty kosztowała 72 halerze, to na początku owego historycznego miesiąca — już 1,70 korony, czyli o około 140 proc. drożej. „Głos Lubelski” donosił, że na rynku brakuje jaj, mleka i masła, a funt cukru kosztuje 3,28 korony.

2 września POW i inne polskie organizacje wojskowe zaczęły rozbrajać okupantów w niektórych dzielnicach kraju, choć ponad dwa miesiące dzieliły jeszcze Europę od księki Niemiec i Austro-Węgier. 2 listopada, a więc osiem dni przed ucieczką Wilhelma II do Holandii, konsul niemiecki opuścił Lublin, czemu towarzyszyły „złorczyenia i gwizdki spośród publiczności”. Dzień później administracja polska przejmowała władzę w mieście; 11 listopada cesarz Karol zrzekł się władzy i uciekł do Holandii. Czwartego tego miesiąca w Lublinie ogłoszono stan wyjątkowy. Komendant wojskowy miasta, pułkownik Filous, rozkazał aby cywile składali broń w placówce na dworcu, zabronił wyszynku alkoholu — dzień później pewien stróż nieomal na śmierć się zapisał — i przebywania na ulicach po godzinie dziesiątej wieczorem.

Wiec była już wolność. Pełna nierówności, jak i kształt przybierze państwo, kto będzie rządził: ci z prawa, czy ci z lewa. A w życiu codziennym było przedziwne.

W nocy z drugiego na trzeciego listopada, korzystając z zamieszania wśród strażników, z więzienia na Zamku uciekło kilkudziesięciu kryminalistów, których tak rozzuchwał sukces, że rankiem próbowali odbić kumpi, przetrzymywanych w ratunku — bezskutecznie zresztą, mimo posiadanej broni. Przez wiele następných tygodni milicja wylapywała to towarzystwo, które z zawziętością walczyło o swobodę. Napotkawszy w pobliżu hotelu „Europejskiego” posterunkowego, Stanisław Gładysz, jeden ze zbiegów, rzucił się nań z takim impetem, że stróż porządku publicznego zmuszony został do użycia szabli. Raniony w okolicę biodra, Gładysz zmarł po kilku dniach w szpitalu Jana Bożego. W dniu owego krwawego incydentu ludność osady „Dzielnia” zaczęła rabować nie pilnowane już magazyny wojskowe, odstępując od subiektywnie pożytecznego działania dopiero w momencie pojawienia się polskich żołnierzy. Podobnie było na Bronowicach. Jedni brali, inni oddawali: Berek Zalcman obliczył właśnie, że na bandu kołmi stracił 800 tysięcy koron (które znajdowały się w obiegu obok rubli).

Dokończenie ze str. 1

W Bełzcu ładna natura

roczysko zbrzydnie przez te gospodarskie zabiegi i za kilka lat będą tylko pewnie z rozrzewnieniem wspominać kulawie wierzby płaczące nad jeziorem.

Tak, natura nie poskąpiła bogactw tej okolicy. Nawet obfitość piasku okazała się dobrodziejstwem, bo dzięki temu ruszyła w 1912 r. produkcja w Zakładzie Wapienno-Piaskowym Wybudowany w sosnowym zagajniku poza osadą, nowoczesnością i porządkiem odcina się od brudnej rzeczywistości „śródmieścia”. Jest to jakby wyjątek potwierdzający regule, że w Bełzcu to, co stworzyła natura jest harmonijnie piękne, zaś to, co zrobili ludzie jest w większości przygnębiająco byle jakie.

W środku osady króluje brzdota. Tuż za domem strażaka, gdzie w niezbyt zgodnym mariażu egzystuje także klub, rozlały się błotniste płac. Negatywny onon w koleinach, dziurawe garnki i właderka wśród kosmyków trawy. Obok nocowały barak ze zgruchotanym stropem.

Kamena str. 4

Przy drzwiach do klubu stoją dziewczyny i szarpią kłamię. Mówią jedna przez drugą:

— Klub? Co to za klub?! Powinien być czynny od 16 do 22, ale w życiu chyba nie był. Klubowa przyjdzie na 20 minut, nie. I zaraz zamyka, albo każe którejś z nas iść dziecka pilnować.

— A wewnątrz? Jeszcze brudniej niż na zewnątrz.

— Każdy tu sobie, nie?! Straż, Ko' o Gospodni Wjejskich tylko patrzy, żeby zabawę urządzać i mieć dochód. Ale żeby z tego dochodu coś przeznaczyć, żeby było w Bełzcu widać, to już nie.

— Oglądała się na młodzież. Ze nby ko' o ZSMP powinna prowadzić działalność kulturalną i dbać

o cały teren. Ale co może sama młodzież zrobić?

— Do koła należą tylko kilka dziewczyn, chłopaki nie chcą robić. Jak był czyn w ubiegłym roku, to żaden do malowania, z miotłą czy z grabkami nie stanął. Myśmy „szuflowały”, a oni przyglądali się tylko. Wstydzą się pracować i jeszcze z nas się śmieją.

— Ale jak wychodzą pijani z gospody, to się nie wstydzą. Nie?!

— Tuż za klubem jest śmietnik. W gminie powiedzieli, że koło ZSMP ma tu sprzątać. Sprzątałyśmy, nawet furą wywoziłyśmy śmieci, ale wyrzucają tu odpadki wszystkie z sąsiednich domów i ciągle jest brudno. Obiecała gmina wystawić

śmietnik z cegieł, ale na obietnicach się skończyło.

— Dużo trzeba by zmienić w tym Bełzcu. Niby duża osada, a nie tu się nie dzieje. Władze gminne jakby o niej zapomniały.

Trawiasty prostokąt przy szosie do Tomaszowa znacznie wyszczupiał od 1918 r., gdy Mieczysław Dudziński uklepywał tu teren pod boisko. Teraz, od kilku lat, mówi się o budowie stadionu w tym miejscu, tymczasem jednak siedzi w „niczyj” teren weszli, ploty wystawili i niełatwo będzie pobaryzany prostokąt boiska znowu wyrównać.

Boisko to była pierwsza społeczna praca pana Mieczysława. Poem Elkwidował usory w spółdzielni Dęby, budował Nową Hutę, a ostatnio, przed reorganizacją, czterech lata przedwojny Gromadzkiej Radzie Narodowej. Okres ten wspomina jako „złoty wiek” Bełzca. Młodzież śpiewała i tańczyła w zespołach, wszyscy brali udział w czynach społecznych. I to żywa działalność było chyba widać, skoro w eliminacjach powiatowych na Dni Miejsowości zajęli pierwsze miejsce a w województwie drugie (wtedy jeszcze w lubelskim, o ile wiemy, niż obecne zamiejskie). Ech! Dużo się budowało, widać to było. Inne życie. A jak siedziły gminy umieszczone w

Zycie codzienne zwykłego obywatela stawało się uciążliwe. Oto poczta znacznie ograniczyła możliwości przesyłania pieniędzy i paczek. Okresowo zmuszono „całą służbę przekazową, pocztowej kasy oszczędności i załączek pocztowych oraz zwykłe telegramy”. Przyjmowano co prawda prywatne listy wartościowe, ale tylko do 1000 koron. Natomiast „pakiety” nie mogły przekraczać 5 kg, ze względu na trudności komunikacyjne, które ograniczyły ruch pocztowy do lokalnego i do obszaru Galicji. Zresztą zarząd poczt i telegrafów zastrzegł się publicznie, że nie bierze odpowiedzialności za przesyłki, apelując jednocześnie, aby obcych poddanych, stanowiących większość pracowników tej ważnej instytucji, traktowano życzliwie, jako „naszych współpracowników i gości”. Dość często przepędzano bowiem ze stanowisk urzędników austriackich czy niemieckich, co tu i ówdzie kompletnie dezorganizowało działalność poczty.

Trudności z wysyłaniem pieniędzy były niczym wobec tych przeszkód, jakie musiał pokonać obywatel zamierzający opuścić miasto koleją. Aby dopiąć swego, powinien otrzymać zezwolenie naszych władz wojskowych, które z zasady wydawano tylko funkcjonariuszom administracji i ważnym osobistościom innej barwy. Poza tym pociągi trzeszczały

ciężki publiczność walcząca na nowy program z Klimkiewiczówną i Sabą Zielinską, a kino „Cud” przy Krakowskim Przedmieściu 51 wabiło programem komicznym pt. „Zosia na praktyce”, który zaczynał się ponoć od zamiatania izby. A potem można było odwiedzić restaurację 1-go rzędu „Belle-vue” (gabinety!), albo podobny przybytek, też I kategorii, pana Zagóźdźona, który znajdując się przy ul. Kapucyńskiej 5, chwalił się pierwszorzędnymi trunkami i kuchnią wyborową.

Naturalnie, żywa działalność i rozwinięta sieć bazy gastronomiczno-ludycznej ówczesnego Lublina nie uprawniają do stwierdzenia, że miasto było szczególnie rozbawione. Nadużyciem logicznym byłoby też wyciąganie zbyt daleko idących wniosków na podstawie ogłoszenia prasowego o zgubieniu „gorsetu niebieskiego w parku wieczorem 4 listopada”, z którego powabem mogło konkurować tylko takie: „Wielka ilość łóżek mosiężnych, prawdziwy wyrób przedwojenny (połkr. aut.) jest do zamiany. Za 1 łóżko 100 kilo maki — dwa zera, albo 70 kilo słoniny loco Wiedeń. Nie wiem, co miały oznaczać owe „dwa zera” (chyba gatunek maki), wlem natomiast, że za wsze rzezy i zjawiska przedwojenne przewyższały w odczuciu publicznym teraźniejsze. W latach czterdziestych czy pięć-

Hubal i steny

TRZECIE wydanie książki Marka Szymańskiego (por. „Sępa” pt. „Oddział majora Hubala” („Książka i Wiedza” 1977) przypomina jeszcze raz ostatniego żołnierza Wzrostu, czy też — jak kto woli — pierwszego partyzanta II wojny światowej. Książka Szymańskiego jest solidna, oparta na faktach, na dokumentach (tak zresztą jak i obie książeczki Mirosława Dereckiego). Ale my wolimy legendę. Dlatego chętniej sięgamy do Stenkiwicz niż do Kerstena czy Czaplńskiego. Dlatego, przeczytawszy „Oddział”, wdychamy: „To nie Wańkiewicz!” Rzeczywiście, nie Wańkiewicz; nie stosuje stenkiwiczowskich chwytów, nie kształtuje „Hubala” na obraz siedemnastowiecznego watazki, a jednocześnie bohatera eposu.

Legendę (mimo wszystko wańkiewiczowską) utrwalił Poręba swoim świetnym filmem, czyniąc oficjalnie kanonizowały ją, nadając „Hubalowi” pośmiertnie złoty krzyż Virtuti Militari. Czas dyskusji minął, ale mimo to warto raz jeszcze zaakcentować moment istotny: dwudziestowieczny watazka nie wykonał rozkazu. Rzeczywistość przyznała rację rozkazodawcom. Mimo to „Hubal” wszedł do legendy. Bo — jak wiadomo — legendy nie poddają się regulaminom.

Materiał do legendy (a także do powieści i do świetnego serialu telewizyjnego) zawiera też książka Stanisława M. Jankowskiego pt. „Steny z ulicy Mogilnej” („Wydawn. Literackie” 1977, w serii „Cracoviana”). Jest to dziennikarskie tropienie faktów, a zatem jak gdyby grubowłosa plota pod przyszły obraz, rozbicie szkieletów, przygotowanie farb. Kto namaluje obraz? A temat czeka. Fantastyczny. Sensacyjny. Wiedzieliśmy, że w konspiracji produkowano „Byskawice”, że istniały suchedniowskie steny, ale dopiero od niedawna wiemy, że w Krakowie w latach 1943-44 działała fabryka stenoń. Oczywiście, tajna, ale też świetnie zorganizowana, ze sumą wyprodukowanych przez nią pistoletów wyrzyna się bezbańską czterocyfrową (trudną zresztą do ustalenia).

Przeczytajmy tę książkę. Dowiemy się, że steny krakowskie, konspiracyjne, były lepsze (to nie pomyłka drukarska!) od oryginalnych, że stosowano w nich ulepszenia konstrukcyjne. Tak. Przed wojną kupiliśmy kilka zagranicznych licencji dla naszego przemysłu zbrojeniowego. W każdym wypadku produkt polskich fabryk okazał się lepszy od oryginału. Ale to były normalne, pokojowe czasy. A tu? Konspiracja, gestapo, groźba wyspy (która zresztą nastąpiła), praca w nocy... A mimo to! Tak, dziwny naród ci Polacy.

Mr. John C. Pasek

JEST naszym patriotycznym pragnieniem, by literatura polska osiągnęła maksimum przekładów za granicą, ale w trakcie realizacji tych życzeń dochodzi do ewenementów co nieco humorystycznych. Bo i jak przetłumaczyć jm. pana Paska na współczesny język angielski? Sorry! Na amerykański? Co prawda wydawcy kalifornijskiej wersji „Pamiętników” piszą na ich obwołanie, że Mrs. Catherine S. Leach dokonała przekładu „with extraordinary clarity and literary power” — z niezwykłą jasnością i siłą literackiego wyrazu. Może, ale przyznam się, że czytając: „The second battle of this year was near Gniezno... The right flank with the royal regiment was given to Woyńłowicz...” czy też: „Czarniecki keeps calling out: In ranks, gentlemen, in ranks!” — jakoś nie bardzo mogę dojrzeć uroków starsowieckiej gawędy.

Czy wobec tego mamy zakazać Amerykanom tłumaczenia Paska? Nie podobnie! Niech sobie czytają. Pewnie i oni śmiełiliby się z naszych tłumaczeń. Może ten przekład jest coś wart? Tym bardziej, że poprzedzony przedmową Wiktora Weintrauba, wstępem tłumaczki, uzupełniony przypisami, wyjaśnieniami, indexem.

Nazywa się to: „The writings of Jan Chryzostom Pasek, a squire of the Commonwealth of Poland and Lithuania”. Wydano ładnie (University of California Press 1976), na pięknym papierze, z mapami, sztychami, w obwołanie. Co prawda na jej froncie trochę nie a propos orzysni się litowczyk Rembrandta, ale niech tam! Za to z tyłu jest na obwołanie reprodukcja „Rycerza w siodle” (malowanego od pleców) Gerarda Ter Borchta, jednego z genialnych Holendrów, których maluskie obrazki warte są tyle złota, ile waga. A nawet więcej.

Ale to dygresja. Panu Pasewi życzymy kariery z ocenem. Kto wie, może przerobią go na komiks (jak „Trylogię”), albo na serial telewizyjny? Very interesting! Oh, yes!

Działaj



Lublin. Krakowskie Przedmieście

pod naporem żołnierzy — Polaków służących do niedawna w obcych armiach i pragnących teraz wrócić do domów. Wojacy oblepiali dachy i stopnie wagonów, ale nie to, pocieszała „Ziemia”, bo ciłopycy są ciepło ubrani, „gdyż przed odejściem z koszar zaopatrzyli się we wszystko, czego potrzebowali. Nie pozwolono im tylko zabierać broni”. Wyjeżdżali z Lublina także żołnierze innych narodowości i formacji, służący jeszcze wczoraj ku chwale C. K. Austro-Węgier. Rusini to nawet bunt podnieśli na dworcu, ale krótki, choć było ich dwa tysiące.

Ceny rosły, poczta kuląła, kolej wozila żołnierzy, mnożyły się napady bandyckie i złodziejskie, brakowało opalu — a tymczasem „Wesoły Ul” żył wesoło

dziesiątych ceniliśmy, o ile pamiętam, przedwojenną maturę, na przykład...

W listopadzie 1918 roku mieszkańcy Lublina biegali za chlebem, wstępowali do milicyjnej Straży Bezpieczeństwa Publicznego, politykowali, zwierali szeregi w różnych partiach, no i chadzali masowo do kin, teatrów, wypełniali salki kabaretów oraz intymne pomieszczenia domów publicznych, funkcjonujących w okolicach Starego Miasta, przy ul. Zmięgród i Foksal.

Z dnia na dzień kwestie bytu narodowego i państwowego zaczęły przecież zabarwiać najbardziej codzienne przejawy życia lubelskich obywateli.

Ireneusz J. Kamiński

Tomaszowie, wszystko skończyło się jak nożem uciął. Zabrakło miejscowego gospodarza i coś zaczęło się psuć w interesie.

Idziemy w stronę szkoły; szosa do Jarosławia zatłoczona jest samochodami. Obok dzieciaka z teczką przejeżdża duży wóz ciężarowy tak szybko, że pęd powietrza porywa mu z głowy czapkę.

— Przedwczoraj zabił tu samochód człowieka. Jezdnia wąska, deptaków nie ma, ruch duży. Codziennie chodzi tędy do szkoły prawie 400 dzieci, a rodzicom i dyrektorowi skóra cierpie.

Prosilili w gminie o ten deptak. Bezskutecznie. W ubiegłym roku wreszcie władze gminne postanowiły ułożyć chodnik od stacji kolejowej do byłego obozu zagłady. Ale przecież tu, w środku osady, ten deptak ważniejszy. Ostatecznie plany się zmieniły i w tym roku wreszcie ma robota ruszyć. Przy okazji porozwala się te koślawe płoty.

Budynek szkoły nosi ślady niedawnego remontu. Czyste ściany, uporządkowane boisko — to zasługa dyrektora i sekretarza miejscowej organizacji partyjnej, Jana Dudka. Obaj z Mieczysławem Dudzińskim szczerze wstydzą się za ten bałagan w osadzie. Choćby się rozdwoili, wyszli z siebie — wszystkiego sami

nie zrobią. Doba dla nich ma też 24 godziny, pracują zawodowo, mają rodzinę, a dyrektor poza tym jeszcze zaocznie studiuje. Próbowali zachęcić ludzi do porządkowania chociaż własnych posesji — na próżno. Zwoływali zebrania. Przychodziła setna część — 20, 30 osób, a mieszkańców jest ponad 2700 w osadzie.

Może i ludzie są zapracowani... Nie ma bodaj rodziny, w której choć jedna osoba nie pracowałaby na kolei, w Zakładzie Wapienno-Piaskowym, betoniarni czy nawet w filii świdnickiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Mają niewielkie gospodarstwa — też prawda. Ale gdyby naprawdę chcieli, znaleźliby czas na układanie chodnika, czy posadzenie krzewów przed kinem.

Może ich oporność, nieruchomości, wynika trochę i z tego, że co najmniej połowa belżczan to ludność napływowa — spod Tarnopola, Szczecina, Lwowa, Opola. Może ci ludzie nie wrośli w tę osadę na tyle, żeby to miejsce uważać za swoje? W każdym razie trudno z nich wykrzesać ochotę do społecznego działania. I aż zazdrość bierze, jak w innej miejscowości na czyn społeczny cała wieś czy osada rusza. A tu czekają tylko, że gmina im zrobi. Pewnie że zrobi. Ale nie tak szybko, jak zrobiliby to razem.

To prawda, że i gmina traktuje Belżec trochę po macoszemu. Ci, pierwszy z brzegu przykład. Skończyło przedsiębiorstwo budować pawilon handlowy i nie uprzątnęło gruzu. Prosił więc radny, żeby naczelnik wydał polecenie uporządkowania placu budowy jeszcze przed świętem pierwszomajowym. I nic. W oknach nowego sklepu czerwił się się dekoracja, a obok piętrzyła się kupa gruzu i uprzątnięto ją dopiero w dwa tygodnie później.

— Oni chcieliby wszystko od nas... Z okna Urzędu Gminy w Tomaszowie Lubelskim widać parking i kawał zakwitającej rabatki. Sekretarz Komitetu Gminnego, Marian Kuzdra, gromadzi argumenty.

— I mają największe pretensje o to, że siedziba gminy jest u nas, a nie w Belżcu, i że od lat nie może ruszyć budowa dworca kolejowego. Ale co zrobić, jak nie możemy znaleźć wykonawcy? Ośrodek jest duży, ponadgromadzki i ma wszystko. Zakłady pracy, kino, pocztę, klub, szkołę — wystarczy tylko o to zadbać. Przecież wyłącznie przez niedbalstwo spłonął kilka lat temu dom kultury... Ostatnio spuszczają tam z prywatnych szamb nieczystości do płynącej przez osadę rzeczki. Przecież nikt za nich nie będzie pilno-

wał porządku na ich własnym podwórku!

Ale ten rok powinien być przełomowy. Władze tomaszowskie chcą tę bierność mieszkańców Belżca za wszelką cenę przełamać. Naprawdę wstyd mieć w gminie tak niemrawe środowisko. A miejscowość spora, ruch w kierunku Lubyczy, Jarosławia, Tomaszowa i Lublina duży, wyścizki, grupy turystyczne — wszyscy patrzą. Więc na pierwszy ogień pójda nakazy administracyjne o uporządkowanie posesji. Sekretarz Biura Urzędu Gminy, Piotr Dziura, pokazuje opasty zeszyt.

— Wydaliśmy 120 nakazów osobom prywatnym i przedsiębiorstwom. Nie poskutkuje — będziemy karać grzywnami. A w tym roku chcemy jeszcze urządzić stadion i ułożyć deptak. Na życzenie mieszkańców nie w kierunku byłego obozu zagłady, jak planowaliśmy, lecz w stronę szkoły. Spełniamy życzenie, ale i stawiamy warunek. Pół pracy my, pół wy. I zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Małgorzata Sawicka

Radgowski
dla
dzieci?

WOJEWÓDZTWO zamojskie „chłubi się” ciągle najniższą w kraju sumą przeznaczoną przez statystycznego mieszkańca na książki (czterdzieści parę złotych — jedna książka). Pośrednią przyczyną jest na pewno szczupła sieć księgarń. Wiele do życia przedstawia też fachowość personelu, czego przykładem może być anegdotalna niemal ilustracja: w jednej z terenowych księgarń wybór pogodnych, filozoficznych felietonów M. Radgowskiego, z wesołym zajączkiem na okładce, bardzo długo stał wśród książek dla dzieci! Co ciekawsze, zabawne rysunki Lengrena sprawiły, że dzieci rzeczywiście Radgowskiego kupowały (może nawet czytały?).

Nieśmiało, bo nieśmiało ruszyła jednak z miejsca, podnoszona i na łamach „Kamenu”, sprawa antykwariatu dla Zamościa. Na razie w formie dość zakamuflowanego kącika w jednej z czterech księgarń. Analogiczny charakter miał kiermasz starej książki, czynny przez kolejne cztery niedziele. Imprezę tę niejako konspiracyjnie przeprowadza się od kilku lat i niemal każdorazowo w podobnym gronie paru osób.

Z podjętą wyżej tematyką wiąże się także kilka innych faktów. Powstało, czy raczej zostało reaktywowane po 39 latach, Zamojskie Towarzystwo Miłośników Książki. Początek wojny przerwał kilkunastoletni żywot niezwykle zasłużonego dla Zamościa, partnerującego największym ośrodkom bibliofilskim w Polsce Koła Miłośników Książki. Obecny cel to nawiązanie do wspólnych tradycji przedwojennych, uświetnionych nazwiskami Klukowskiego, Pomarańskiego, Pieszki, Rosińskiego. Ten ostatni był jednym z wytrawniejszych w kraju kolekcjonerów exlibrisów, których najrepreszentatywniejszą część eksponowało miejscowe muzeum, będące w posiadaniu całego „spadku” po mec. Rosińskim. Notabene w skład zarządu ZTMK weszło aż pięciu dyrektorów i czterech kierowników, przeważnie instytucji mających z książką kontakt zawodowy, brak natomiast choćby jednego autentycznego bibliofila. Przed wojną najpierw była grupka bibliofilów...

Jak widać aktywność PKZ nie ogranicza się do wąsko pojętej działalności rewaloryzacyjnej, czego najlepszym dowodem jest współorganizowanie interesującej sesji naukowej (29—31 maja). Godne uwagi są i drobne na pozór sprawy, jak informacja w postaci estetycznych plansz

i tablic, czy wykonanie oryginalnych maxi-szachów do parku. Na korzyść świadczyć może nawet owo poiknięcie językowe, przywołane przez „Sztandar Ludu”. W ciągu kilku godzin dosłownie po ukazaniu się gazety niefortunną tablicę zdjęto i następnego dnia, przereklamowaną, umieszczono z powrotem w Rynku. Gdyby tak każdy reagował na krytykę!

Przy całym pietyzmie, z jakim odnawia się poszczególne kamieniczki, odwarza detale architektoniczne, aranżuje wnętrza, wyczarowuje uroczę podwórka, trafia się i przysłowiowa łyżka dziegciu. Ow „brak solidności ostatniego szlif” Kazimierz Koźniowski ma za naszą, dzisiaj, chorobę społeczną. Pojedynczy, choć nie jedyny przykład: pod koniec kwietnia wzdłuż wschodniej pierzei, będącej już po renowacji, wykopano rów zapewne w celach geo- lub archeologicznych... miast uczynić to po przeciwnej stronie. Całą ziemią, wilgotną i gliniastą, niefrasobliwie osyżano na wysokość kilkudziesięciu centymetrów białe skarpy i filary podcieni (podcieni kamieniczek po remoncie!). Jakież skutki może dać ów okład wykonany pod fachowym nadzorem? Na pewno nie odkrycie kolejnej metody walki ze sławetnym „grzybem”!

Z rzeczy przyłemuńszych: Zamość z dniem 1 lipca wchodzi do grona bodajże trzydziestu paru miast w Polsce posiadających własny z wodowy zespół artystyczny. Pod takim szyldem występować będzie wiele zastępów Orkiestra Włoskańska, im Karola Namysłowskiego Wiek działalności, gdy dzieje miasta liczą ich nieledwie cztery, to już ewenement godny specjalnych przywilejów, a przecież gdyby nie „Namysłowiacy”, muzyczna kultura Zamościa ograniczyłaby się do 10—12 nazwisk, związanych zresztą przelotnie z Zamościem.

Znane są dzisiaj nazwiska szeregu wybitnych muzyków, jakim mecenasował Jan Zamojski: niektórzy grali nawet w utrzymywanej przez niego kapeli. Posiadanie orkiestry było ambicją kolejnych ordynatów. Tak do Zamościa trafił Czech Wodiczko. Jego syn urodzony w Zamościu, mieszkający tutaj, był także muzykiem Zamojskich, a przede wszystkim oicem słynnego dzisiaj w Europie dyrygenta Bohdana Wodiczki. Jakżeż czas w orkiestrze ordynackiej grał i dyrygował L. Szychlewicz oraz T. Perchorowicz. Z Zamościa pochodzi znany kompozytor Aleksander Bryk. W Zamościu przez kilkanaście lat po zakończeniu kariery zamieszkiwała czelowa polska śniewaczka lat międzywojennych Teodozja Skonieczna, żona miejscowego lekarza. Obecnie prócz Zygmunta Kubali na kontynencie amerykańskim przebywa drugi zamościanin, Jerzy Burda, absolwent PWSM. Przez pewien czas odnotowywał sukcesy z zespołem „Ethos”, teraz jest skrzypkiem Filharmonii Narodowej w Caracas. Obok Wodiczki w Teatrze Wielkim w Łodzi pracuje aktualnie, prowadząc najpiękniejszy operowy chór w kraju, Zbigniew Paweł, niegdyś dyrygent „Namysłowiaków”.

Szczególnie w swym niwierzszym okresie młodec Namysłowski był ambasadorem Polski w nie mniejszym stopniu niż obecnie „Mazowsze”, czy „Stasik”. Trzeba pamiętać, że kiedy orkiestra powstawała, do końca niewoli było jeszcze długich 37 lat. Chłopi podzamojscy, przywołani byli przez cara Aleksandra III i prezydenta Coolidge’a: zlecałi wchodzić i południe Europy, zaś przez trzy miesiące koncertowali w 14 stanach USA; „fantazja, zdzierżystość, szerokie rozmach polskiej natury” w ich muzyce zniewały słuchaczy...

Czas polski, czy pod batutą Adama Kowalczyka, dyrygenta jakiegoś od czasów Stanisława Namysłowskiego nie było w Zamościu, zespół nawiąże do tych najświetniejszych lat. Skoro jednak o rozlicznych perturbacjach („Polityka” nr 10 89), do ważnej dla zespołu decyzji doszło, miejmy nadzieję, że tak. Rzecz w mecenacie. Jeśli więc na koncercie w amfiteatrze spotkać można incognito i sekretarza KW, znaczy to, że mecenat istnieje. Można już tylko zakrzyknąć, za tytułem kolejnej płyty „Namysłowiaków”: „Tęgo nam graje!”

Folklor
i
literatura

OSTROŁĘKA, od dwóch lat miasto wojewódzkie, nie ma wielkiej tradycji literackiej czy naukowych. Liczy sobie ponad sześćset lat, ale zabytków architektury posiada niewiele. Każda wojna, każdy najazd równał z ziemią to miasteczko nad Narwią. W sercach Polaków Ostrołęka kojarzy się z walką wyzwolenczą, „od bowiem wyruszyła Insurekcja Ciuszkowska, tu rozegrał się dramat powstania listopadowego, tu w okolicznych puszczech walczyli powstańcy kurpiowscy ze Szwedami i krwawo powstańcy styczniowi. Pod Ostrołęką walczył Józef Bem i pamięć o nim jest ciągle świeża. Na starym rynku króluje pomnik generała, tuż za Narwią znajduje się mauzoleum jego imienia. A pod murem klasztornym pomnik Czwarłaków z granitu, symbolizujący rozłupane serce, też przypomina przechodniom o przeszłości. Ostatnia wojna również krwawo zapisała się w dziejach najnowszych miasta, świadczy o tym wiele mogił i miejsc straceń. Świadczy o tym cmentarz dziesięciu tysięcy żołnierzy radzieckich, którzy padli w bojach nad Narwią.

Liczące 33 tys. obywateli i posiadające nowoczesny przemysł miasteczko patrzy także w przyszłość. Kto przyjeżdża do Ostrołeki po pięcioletniej nieobecności, nie pozna miasta. Tu, gdzie parę lat temu stały drewniane domki otoczone ogródkami z warzywami, gdzie kury rozdziobowały ciszę i nudę — wznoszą się duże osiedla nowoczesnych bloków mieszkalnych. Przy głównej ulicy zbudowano wysokie, dwunastokondygnacyjne wieżowce, na skrzyżowaniu ulic zapłonęły światła sygnalizacyjne. Symbolem nowej Ostrołeki stała się stumetrowej wysokości wieża telewizyjna, usytuowana w samym centrum miasta. Ostrołęka przeżywa właśnie ten moment historyczny, kiedy z małego ośrodka przekształca się w miasto. Przekształca się nie tylko w sensie architektonicznym i urbanistycznym, ale także społecznym i kulturowym.

Jak wspominałem na wstępie, Ostrołęka nie miała wielkiej tradycji kulturalnych czy artystycznych. Była przez wieki jedynie zapleczem administracyjno-usługowym dla słabo rozwiniętego, nawet pod względem rolniczym, obszaru. Trzeba było odrabiać wielowiekowe zaniechania. Pierwszym mecenasem rozwoju kultury okazał się przemysł, a w szczególności Ostrołęckie Zakłady Celulozowo-Papiernicze, które zbudowały duży, jak na ówczesne warunki, dom kultury, dysponujący salą widowiskową, kinem, pomieszczeniami klubowymi. Do Ostrołeki zaczął systematycznie przyjeżdżać Teatr Ziemi Mazowieckiej, różnego rodzaju „Estrady” i zespoły muzyczne. Bogactwem regionu jeszcze do dziś należy nie wykorzystana była i jest oryginalna sztuka ludowa, przejawiająca się nie tylko pod postacią znanych powszechnie wycinanków kurpiowskich czy rzeźby, ale także w ludowych obrzędach, muzyce, architekturze, zwyczajach, tańcach, poezji itd. Władze i działacze kulturalni starali się uczynić z miasta centrum kulturalne, w którym ludowa kultura i sztuka Kurpi znalazłaby oparcie i szanse rozwoju. Województwo ostrołęckie należy do najbogatszych pod

względem liczby zespołów oraz twórców ludowych (tamże).

Jest cenną charakterystyką, iż w rozwoju kulturalnym miasta i regionu ośrodek literatury ogromną rolę odgrywa literatura. Dzieje się może i tak innego, iż z Ziemi Kurpiowskiej wyszła kilkunastu współczesnych pisarzy, którzy z Ostrołęką utrzymują żywą, serdeczną więź. Należą do nich: Leszek Bakula, Mieczysław Czychowski, Henryk Syska, Kazimierz Sopiński, Kazimierz Szwedowski, Aleksander Nawrociński, Jerzy Sokolowski. W samej Ostrołęce działa Klub Literacki „Narew”, skupiający ludzi próbujących swych sił w twórczości literackiej, szczególnie w poezji. Kilku z nich wydało własne publikacje książkowe (Edward Kupiszewski, Tadeusz Maciejowski, Dionizy Maliszewski, Czesław Parzyński). W najbliższych latach na polkach księgarskich ukazać się dalsze książki ostrołęckich poetów. Klub „Narew” zaprasza do siebie pisarzy z Warszawy, Olsztyna, Łomży na spotkania i dyskusje, jest współorganizatorem sesji literackich, wydaje zbiorowe publikacje. Na przykład w roku 1974 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza opublikowała almanach Klubu pt. „Z Kurpiowskiej Niwy”, w roku 1975 Instytut Wydawniczy CRZZ wydał „Arkusze poetyckie grupy „Narew”, w latach 1976—78 ukazały się w miesięczniku „Wzrost i Młodość” samodzielne wkładki pt. „Ostrołęka Literacka”. Systematyczną działalność upowszechniającą literaturę poprzez spotkania z pisarzami prowadzi też Wojewódzka Biblioteka Publiczna, organizując „Niedziele Literackie”, na które zapraszani są pisarze, głównie ze stolicy Trwałą tradycją życia kulturalnego są „Kurpiowskie Dni Literatury”; niedawno, bo w marcu, odbyła się sesja z kolei impreza z udziałem kilkudziesięciu pisarzy. Współorganizatorem „Dni” był i jest Warszawski Oddział Związku Literatów Polskich.

W czasie tych „posiadów” obok spotkań autorskich, które odbywały się zazwyczaj w placówkach kultury na terenie województwa, organizowane są sesje popularno-naukowe. W roku 1977 tematem sesji było życie i twórczość Cypriana Norwida. Tak się stało, iż wieś Głuchy, w której urodził się ten wielki poeta, zniżyła się obecnie na terenie województwa ostrołęckiego. Władze starają się, aby w przyszłości w pałacu w Głuchach mogło powstać muzeum Norwida. Również w starym dworze we wsi Debinki, gdzie obecnie istnieje szkoła będąca zarazem zakładem wychowawczym, organizowany jest konkurs poezji Norwida, w którym biera udział zespoły i recytatorzy z województwa. Od przyszłego roku będzie to konkurs ogólnopolski.

W roku 1978 tematem sesji była twórczość Leopolda Staffa i Janusza Korczaka. Sesje tego typu odbyły się w większych miastach województwa: Wyszakowie, Ostrowi Mazowieckiej, Przasnyszu. Warto wspomnieć, iż Biblioteka Miejska w Wyszakowie, obok którego leży wieś Głuchy, otrzymała w roku ubiegłym imię Cypriana Norwida. Podczas każdego „Kurpiowskich Dni Literatury” odbywa się około stu spotkań autorskich.

W samej Ostrołęce imprezom literackim patronuje imię Wiktora Gomułkiewicza, poety, pisarza, autora „Przygód niebieskiego mundurka”. Dzięki uprzejmości i pomocy Juliusza Gomułkiewicza, syna poety w Ostrołęce powstanie izba muzealna poświęcona pamięci jego ojca, który urodził się w Ostrołęce. Izba jest właśnie urządzana, a większość eksponatów to dary Juliusza Gomułkiewicza.

Coroczną wielką imprezą o charakterze wojewódzkim są „Dni Folkloru”. W ich trakcie odbywają się także spotkania i sesje literacko-naukowe. Na ubiegłoroczną, z udziałem kilkunastu pisarzy, rozważano problem: „Region a literatura”; główny referat wygłosił Róch Sulima.

Wynikiem tych wszystkich poczynań jest fakt, iż działalność i twórczość literatów jest obecna w świadomości społecznej, że w Ostrołęce tworzy się żywe, choć jeszcze niewielkie środowisko twórcze, posiadające ambicje uczynienia z miasta ośrodka promieniującego nie tylko na teren własnego województwa. Czy te zamierzenia zostaną zrealizowane, okaże się w przyszłości najbliższej.

Dionizy Maliszewski

O FESTIWALU NA ZIMNO (2)

ODNOTOWAŁAM w poprzednim odcinku niżejrelacji, iż sesja teatrolologiczna poświęcona dramaturgii Tadeusza Różewicza była jednym z najbardziej wartościowych elementów XIX wrocławskiego Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych. Wypada jednak dodać, że druga część sesji — omówienie twórczości dramaturgicznej Stanisława Grochowiaka — nie została zrealizowana. Po prostu referent, Piotr Kuncewicz, naw... nie przybył i nikt go nie zastąpił. Ograniczono się do wyświetlenia szeroko znanych z przedstawień teatralnych i TV „Chłopów” oraz „Leków porannych”, po czym obecni na pokazie rozeszli się w głębokiej zadumie. Raczej nieopatrznie wtedy wydało się nadanie sesji tytułu „Teatr poetów”. Zresztą i dlatego, że owo hasło implikuje określenie cech

A oto znów przykład (czyż argumentowanie przykładami nie jest najrzetelniejsze?). Między konkursowymi pokazano na wrocławskim festiwalu komunikatywną sztukę Jana Szymańskiego „Krzywa plaska”. Autor, debiutujący w dramaturgii, 50-letni inżynier mechanik, (czyżby naprawdę?) jest w kontakcie ze światem lekarskim. Poruszył w „Krzywej płaskiej” zagadnienie niezmiernie aktualne, mogące zainteresować każdego człowieka. Ustawił problem w aspektach moralnym i prawnym, wzniesając całkiem zręcznie dyskusję nad nim. Rzecz jest napisana klarownie, językiem rzeczowym, poprawnym, bez pretensji do „dymów” literackich czy grandilo kwencji. I cóż? Recenzent, owszem, poklepał autora po ramieniu,

spornej własności Kajzara z masy spadkowej wszystkich awangard świata. Na raz, z jednego „wejścia” dostrzegam tylko najbardziej dostrzegane — nieprzystosowanie do współczesnej rzeczywistości w skrajnie szerokim odniesieniu, właściwie wielu pisarzem młodego i średniego pokolenia, różnych narodów. Spełniłam życzenie któregoś z krytyków wychodząc ze spektaklu zrytowana na Kajzara — gramaturga. Drażni mnie to namiętne, osieniacyjne, tak dziś rozpowszechnione „poszukiwanie swej tożsamości”, obnoszenie się ze swoim „ja”. Zachwyca natomiast Kajzar — inscenizator, bogactwem środków teatralnych. Wydaje się, że twórczość inscenizacyjna jest właśnie autentycznym powołaniem Kajzara, zdolnym scalić „rozbić” myśliciela i pisarza. Gdy podumam o jego świetnych inscenizacjach sztuk Tadeusza Różewicza, żal mi, że ominęła Helmuta Kajzara na tegorocznym festiwalu nagroda za reżyserię własnej sztuki.

Twierdząc zawsze, iż nie ma tzw. „szarego życia”, jeśli człowiek sam nie uczyni go szarym. Analogicznie: teatr jest przeciw sztuce wielobarwna, dopóki jakiś autor lub reżyser nie wniesie do niego szaryzmy. Taki właśnie casus zademonstrował na festiwalu krakowski Teatr Stary prezentując „Zyciorys” Krzysztofa Kieślowskiego, laureata wielu nagród filmowych i szczególnie cenionej nagrody „Polityki” (z r 1976) — „Drożdże”. Może ona to właśnie zdecydowała o wystawieniu „Zyciorysu” na scenie im. H. Modrzejewskiej?

Teatr został zrobiony przez Kieślowskiego „na szaro” tym sposobem, że w wybranej przez autora formie weryfikacyjnej treść jest absolutnie nieprawdziwa. Otrzymał mi naskórkowo wierny obraz zebrania komisji kontroli partyjnej, na którym upozorowano całkiem nierealny konflikt. Bo o coż tu poszło? 16 osób dorosłych, słownie: sześć nastu towarzyszy, dyskutuje poważnie przez dwie godziny z jednym towarzyszem, który odkrył, że świadczenia społeczne w godzinach pracy zakładu nie są tzw. czynem społecznym i za to „odkrycie” został wykluczony z partii. Któż temu uwierzy? I jakież tu może być istotne zestawienie z podobnym w formie „Protokołem...” Gelmiana czy „Egzaminem” Gawlika, gdzie chodzi o rzeczywiste demaskacje?

Osobiście, za najlepszą pozycję konkursową XIX FPSW uważam spektakl warszawskiego Teatru Południowego „Rozmowy z katem” — dokonanej przez Zygmunta Hübnera adaptacji słynnej książki Kazimierza Moczarskiego. Analizowałam też wersję sceniczną (w numerze 11 „Kamery” br.), z okazji wykorzystania jej w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy. Pozostaje mi dodać, że, oczywiście, znalazła ona w reżyserii Andrzeja Wajdy szczególnie celną realizację, zwłaszcza dzięki bezbłędnemu ustawieniu roli Jürgena Stroopa, SS-Gruppenführera i General-Leutnanta der Waffen SS, kata, likwidatora powstania w warszawskim getcie. Gra go Stanisław Zaczek ukazując wyraźnie genę potwornego wynaturzenia dziejowego, o którym nie wolno zapominać.

I wreszcie nadszedł dzień siódmy, dzień ostatni festiwalu, kiedy miałam zobaczyć we wrocławskim Teatrze Polskim niecierpliwie oczekiwaną „Śmierć w starych dekoracjach”. Odpowiedzialnego zadania przysposobienia tej znakomitej prozy dla teatru podjął się Jerzy Grzegorzewski, świetny przeciw inscenizator Gombrowiczowskiego „Słubu”.

Pisze Tadeusz Różewicz w przedmowie do II wydania utworu:

„Bohater” tego opowiadania dopiero w godzinie śmierci ma przecucie, że prawie całe życie spędził wśród zakazów i nakazów, pojęć, idei i symbolów, które były atrapami. Jego walka o godność polega na tym, że chce zrozumieć świat, w którym żyje. Zwątpienia, które go ogarniają, łączą się z XIX-wieczną „Śmiercią Boga”, ale również z przecuciem „Śmierci Człowieka” w XX wieku.

Tak, to jest w książce, lecz co z tego pokazał Grzegorzewski? Nie wiem, doprawdy nie wiem. Prawie nic nie widziałam i nie słyszałam. Grzegorzewski umieścił widzów na scenie, zagarniając całą wielką widownię dla swego rzekomego teatru poezji i wizji plastycznej. Zawiodła jednak akustyka, zawiodła możliwość oglądu. Jury, które przeczornie posadziło w pierwszym rzędzie, przyznało Grand Prix za „inscenizację” (?). Musiała być fenomenalna. Nie wiem, nie wiem, nie wiem, po stokroć nie wiem, dla mnie przedstawienie nie istniało! Nie tylko dla mnie.

Powiedziałam w poprzednim odcinku, że główną atrakcją tegorocznego FPSW były imprezy towarzyszące. I rzeczywiście strach pomyśleć, jak by wyglądał ten festiwal, gdyby nie (przede wszystkim) „Kartoteka” Różewicza z Kozieniem w roli Bohatera, gdyby nie „Odejscie Głodomora” w reżyserii Kajzara (pisałam o tych spektaklach w swoim czasie), gdyby nie „Jego mała dziewczynka” Kaprowicza w reżyserii Jacka Wekslera, i „Biała skrzynia” w Kalamburze, i wreszcie — frapująca „Sonata Belzebuba” E. Bogusławskiego, wykonana w pięknej sali (Aula Leopoldina) przez artystów Państwowej Opery pod dyrekcją Roberta Satanowskiego.

No i wspomnijmy z wdzięcznością o gigantycznym przedsięwzięciu Kazimierza Brauna — pierwszej w historii teatru inscenizacji całości „Dziadów”. O tej odważnej inicjatywie, zasługującej na szacunek bez względu na zarzuty, jakie mogłaby nasuwać realizacja poszczególnych pomysłów, nie wolno wypowiadać się bez bardzo gruntownego przygotowania, na które mnie w danym momencie nie stać. Mogę jedynie życzyć w razie Kazimierzowi Braunowi mocy ducha pozwalającej przetrzymać wszystkie ataki ze strony zaciekłych mickiewiczologów.

Strach pomyśleć...

Maria Dechcyc-Rudnicka

odróżniających taki teatr od teatru tout court, a tej definicji nie dokonano.

Ale pora już zwrócić wreszcie oczy, choćby pobieżnie, na spektakle festiwalowe. Otóż tu zwłaszcza trudno niestety wyzbyć się pewnych wątpliwości.

Przede wszystkim zawiodła tradycyjna „klamra” — zainaugurowanie i zakończenie festiwalu pozycją reprezentacyjną. Wybrano tym razem respective: „Dwa teatry” Jerzego Szaniawskiego i „Śmierć w starych dekoracjach” Tadeusza Różewicza. Zdawałoby się, słów nie ma — wybór piękny! Aliści, tak — aliści, gdy chodzi o galę teatralną, wiadomo — nie sama doskonałość dzieła się liczy, lecz i walor jego podania. Muszę zatem zacząć od wziętej oceny spektaklu inauguracyjnego. Co się tyczy adaptacji sławnej prozy Różewicza, przyjdzie na nią kolej we właściwym czasie. Na razie wystarczy uwaga, że zapowiedziano ją w programie trochę na zasadzie kupna kota w worku, gdyż niemal do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, co z tego będzie i czy będzie coś w ogóle.

A więc „Dwa teatry”, niedawna premiera warszawskiego Teatru Małego — czołową imprezą FPSW.

Podstawowym zadaniem festiwalu wrocławskiego jest, jak głosi pełna jego nazwa, pokaz samych polskich prapremier z bieżącego sezonu i to „na najwyższym poziomie realizacji”. Niedobór pozycji odpowiadających powyższemu warunkom skłonił jednak komisję artystyczną do rozszerzenia (wzorem bodaj r ub.) formuły — o najwybitniejsze pozycje premierowe sezonu. Powstaje teraz pytanie, czy aby wstawiając do programu tegorocznego FPSW „Dwa teatry” w reżyserii Andrzeja Łapickiego — poszerzono formułę festiwalową o pozycję na szczytowym poziomie realizacji?

Nie raz i nie dwa dawałam wyraz swej admiracji dla wysokiej rangi i świeżości pomysłów Adama Hanuszkiewicza, pozwól sobie wszak zauważyć, że jeśli chodzi o filię Teatru Narodowego — Teatr Mały, to trafiają się na tej scenie, obok pozycji tak doskonałych jak „Miesiąc na wsi” lub „Białe małżeństwo”, niekiedy spektakle mniej udane. Przykład — „Ta Gabriela”, gdzie Zapolska upodobnia się prawie do kobietek „trzępiotkowatych”, które wyszydzała, podczas gdy można było jej „słabości” w zakresie uprawianego równoległe z dramaturgią aktorstwa pokazać z umiarem, jak to uczyniono w krakowskiej „Wystawie ku czci Zapolskiej”.

Koncepcja obrona przez naszego znakomitego aktora Andrzeja Łapickiego dla jego inscenizacji „Dwóch teatrów” również wydaje mi się nie nazbyt fortunna. Naturalistyczny pomysł osadzenia „Małego Zwierciadła” w upozorowanych próbach narusza subtelna aura emocjonalna osnuwająca „Matkę” i „Powódź”, jednoaktówki napisane przeciw w okresie międzywojennym dla Radia. A samo ich obecnie omówiane wykonanie teatralne jakby miało deprecjonować „Małe Zwierciadło” wręcz zaskakującą sztuczną „swojskością”, gdy tymczasem w przytoczonym przez program fragmencie wypowiedzi Szaniawskiego czytamy:

Ani dyrektor realistycznego teatru „Małe Zwierciadło”, ani jego przeciwnik w dyskusji, dyrektor „Teatru Snów”, nie są przedstawicielami dwóch odrębnych i bezwzględnie uzasadniających się światów. Każdy z nich reprezentuje połowę racji, które ze sobą połączone dają dopiero pełną i bogatą całość. Moj realizm nie kończy się tam, gdzie kończą się konkrety osiągalne zmysłami. Jedno z drugiego wynika, jedno o drugie się zeznają, obaj dyktanci, mają swoje głębokie racje, o bezwzględny zwycięstwo którego z nich nie ma mowy (spacjowanie moje — M.B.R.).

Oczywiście w okresie, kiedy powstała ta sztuka jako całość, należało bronić „Teatru Snów”, dziś przeciwnie chyba „Małe Zwierciadło” wymaga ochrony przed wyginieciem gatunku. Albowiem, odgornemu na nie zapotrzebowaniu, nieustannie zgłaszanemu, nie zawsze towarzyszy zielone światło dla jego treści, z drugiej zaś strony, znaczny odłam krytyki, dotknięty snobizmem, wita teatr niemetaforyczny pogardliwym wyśmiewaniem, czyniąc wyjątek tylko dla „teatru faktu”, na który nastąpiła mo-

że niby „i takie sztuki są przydatne”, a jury festiwalu? No, jury wynalazło, jak to się mówi, na otarcie łez — Nagrodę dla Młodego Aktora w przedstawieniu „Krzywa plaska”, aczkolwiek konsekwentnie stosowanie deklarowanej od lat polityki repertuarowej, tudzież samo założenie wrocławskiego FPSW — doping do pisania aktualnych sztuk komunikatywnych, „dla ludzi” — nakazywałyby przynajmniej wyrażenie uznania całemu zespołowi Teatru Ochoty. Za wzięcie na warsztat pozycji współczesnej, która wywołuje żywy oddźwięk na widowni. Powstała doprawdy paradoksalna sytuacja, w której ja sama, przyznając, że śledziłam przebieg akcji „Krzywej płaskiej” w napięciu, jestem niemal zmuszona przypomnieć czytelnikowi, iż nieobce mi były też spektakle Meyerholda i innych luminarzy awangardy!

Dobre i to, że nie przydzielono nagrody Teatrowi Śląskiemu im. Wyspiańskiego za wystawienie adaptacji



Teatr Współczesny im. E. Wiercińskiego we Wrocławiu. Adam Mickiewicz — „Dziady” w inscenizacji Kazimierza Brauna. Bogusław Klere (Gustaw w Części IV)

Fot. J. Bortkiewicz

lacji 5-tomowego (horrible dictu) cyklu powieściowego Kazimierza Truchanowskiego „Młyny Białe”, lecz błędem było już sa o zakwalifikowanie na festiwal przedstawienia Henryka Baranowskiego „Młyny Totehornu”, które po pierwszej części wymiata z sali widzów oszalełymi natłokiem niespójnych pomysłów.

Trudną w percepcji sztuką jest także bez wątpienia „Trzema krzyżakami” Helmuta Kajzara, spektakl konkursowy wrocławskiego Teatru Współczesnego im. E. Wiercińskiego. Lecz warto tu pogłowieć się nad niejednym momentem. Obiecuję sobie przeczytanie tekstu, dla wyodrębnienia bez-

JAN GÓREC - ROSIŃSKI

INVOKACJA DO WIEŻY W KTÓREJ ZAMIESZKAŁA SOWA

Wszystko co wam tu opowiem jest już tylko
moja wieża nie zgasła zamieszkała w niej
blizną
oczy

sowy która widzi prawdę
może wypatrzyć orla
i zwątpienie
nie znosi tylko słońca
ślepnie w blasku nadmiernym
i mój zmierzch
jest królestwem jej samotności

Wszystko co wam tu opowiem jest
poza miłością
no wieży w której wygasły światła
nie ma smutku nie ma rozpacz
nadzieją jest sowa

moje doświadczenie
które przyszło gdy utonął mój zamek
zbudowany na lodzie

Wszystko co wam tu powiem zdarzyło się
przed moim urodzeniem
stąpiłem wtedy po gwiazdach i wierzyłem
w niewinność

byłem bliski utraty tożsamości
pozbawiony rozpacz
i zdawało mi się że świat jest rozkwitającą
różą

odtrąciłem ból
bóg mojej naiwności zapalił wszystkie światła
w latarniach z wież nadmiernie zaludnionych
obolały jasnością

umarłem
zamieszkałem w wieży w której wygasły
światła

tam jest moja sowa
którą wy właśnie wy wyrzuciliście ze swego
świata



Rys. E. Ingłot

* * *

Pośrodku lata
rośnie moje drzewo
Dajcie mi pory roku
zakwitną sadem
Dajcie mi wiosnę
wybiegną weselem

Dajcie mi jesień
spadną owocobranie
Dajcie mi zimę
niezapisaną śmierć

przetrwam

Pod moim drzewem
urodzi się
pierwiosnek

Kamena str. 8

W DNIACH 20-24 maja w sali balowej Pałacu Malachowskich odbywały się koncerty kolejnego — siódmego już — Festiwalu Małych Form Wokalno-Instrumentalnych. Tegoroczne Divertimento stanowiło ważny epizod w programie obchodów 25-lecia urodziska, które pochwalić się może interesującymi tradycjami literackimi i muzycznymi.

Należczowski festiwal próbował rozmaitych założeń programowych, sprowadzających się często do ujęć monografizujących. W ubiegłym roku na przykład cały program poświęcony był małym formom wokalnym, z czego należało się tylko cieszyć: wysłuchaliśmy wówczas tak rzadko grywanych oper, jak *Il Maestro di musica Pergolesiego*, *Graci Orlandiego* czy *Luridi scholares Brixiego* w dobrym wykonaniu solistów warszawskiej Opery Kameralnej. W roku bieżącym przedstawiono nam pięć koncertów prezentujących muzykę od Bacha i Vivaldiego po Strawińskiego, a zatem operujących zupełnie różnymi stylami, odwołujących się do odmiennych konwencji wykonawczych.

Inaugurujący festiwal koncert zespołu *Con Moto Ma Cantabile* wypełniły kompozycje Antonia Vivaldiego: *Koncert g-moll na orkiestrę smyczkową i basso continuo*, *Koncert na flet i orkiestrę smyczkową „Il Gardellino”*, *Koncert a-moll na dwa skrzypce*, *Koncert B-dur na wiolonczelę i skrzypce oraz Wiosna i Lato z Czterech pór roku*. W czasach Vivaldiego koncerty skrzypcowe nie odznaczały się szczególnie ostrymi rygorami kompozycyjnymi. Całość — raczej swobodna, o przejawiającym się żywiole improwizacyjnym — składa się z trzech części o wyraźnie skonstruowanej rytmice i tempie. Ich tematy wprowadzał przemiennie instrument solowy i orkiestrowe tutti. *Il prete rosso*, zwany tak dla duchownej sukienki i płomiennie rudych włosów, rozbudował i wyeksponował partie koncertującego instrumentu, zaś fragmenty zespołowe usamodzielił i nadał im efektywny wyraz brzmieniowy. Widać to zwłaszcza w pięknym *Koncertie a-moll*. Z kolei zbiór *Il Cimento dell' Armonia e dell' Invention op. 8* (nr 1-4 tego opusu to właśnie *Cztery pory roku*) jest bardzo interesujący z uwagi na fakt, że literacki komentarz do tekstu muzycznego począł być na szerszą skalę stosowany dopiero w XIX wieku. Tymczasem każdy koncert jest u Vivaldiego poprzedzony sonetem (nieznanego chyba autora), ukazującym krajobraz odpowiedniej pory roku i człowieka na tle natury. Zarówno *Wiosna*, jak i *Lato* są istotnie „szczytem inwencji”, zgodnie z tytułem zbioru, i zaskakują bezbłędną konstrukcją formalną. Wykonanie zespołu *Con Moto* nazwałbym salonowym (bez żadnych ujemnych skojarzeń) i doskonale pasującym do pałacowego wnętrza. *Cztery pory roku* obciążone są zresztą tak bogatą tradycją interpretacyjną, że bardzo rzadko porywają słuchaczy.

Marek Szware, długocisły koncertmistrz, a obecnie także i dyrygent *Con Moto*, jest na pewno skrzypkiem doświadczonym i dobrym, ale nie gra na tyle przekonująco i ekspresyjnie, by choć na chwilę zatrzymać w pamięci kreacje Zuckermanna czy Kulki. Młodzież tworząca zespół (absolwenci i studenci warszawskiej PWSM) muzykuje z radością i zapałem, potrafi uchwycić styl, jak np. Bogusław Lewandowski i Stanisław Tomaszek, soliści w *Koncertie a-moll*. O czasie koncertów *Academy of St. Martin-in-the-Fields* z Neville Marrinerem warto chyba jednak zrezygnować z określeń typu „imponująca” czy „wspaniała” w odnie-

szczeniu wbracając, rewersyjną kantylenę i niepowtarzalny dźwięk starego instrumentu Amatięgo.

Liejący sobie niewiele ponad rok Kwartet Varsovia przedstawia dwa kwartety smyczkowe: *B-dur op. 71 nr 1* Józefa Haydna oraz *B-dur K. V. 589* czyli drugi z tzw. Kwartetów Pruskich Wolfganga Amadeusza Mozarta. Gre Varsovia ocenili najtrafniej byli altowiolista Juilliard-Quartet, Raphael Hillier, dostrzegając w niej „muzykalską piękność brzmienia, wspaniałe opanowanie techniki, wreszcie finezję muzyczną wszystkich stylów”. Ze swej strony chcę podkreślić bardzo interesujące prowadzenie partii wiolon-

VII NAŁĘCZOWSKIE DIVERTIMENTO

Stefan Münch

sieniu do produkcji krajowych, a przecież podobne zachwyty pod adresem *Con Moto* zdarzyło mi się przeczytać. W sumie koncert uważam za przyjemny i mocny wprowadzić słuchacza w stan niezamkniętej pogody ducha. Najmniej zaś podobał mi się *Il Gardellino*, głównie za sprawą Elżbiety Dastych-Szwarc, która partię fletu zrealizowała w sposób dość akademicki i rozwlekły.

Daniel Szafran należy do grona najwybitniejszych wiolonczelistów naszej doby. Z towarzyszeniem naprawdę świetnego pianisty Feliksa Gotliba wykonał *Sonatę d-moll* Dymitra Szostakowicza, *Suitę nr 5 a-moll BWV 1011* Jana Sebastiana Bacha, *Sonatę a-moll „Arpeggione”* Franciszka Schuberta oraz *Introdukcję i Poloneza C-dur* Fryderyka Chopina. Było to wydarzenie muzyczne z rzędu niepowtarzalnych; od precyzyjnej, subtelnej i cudownie miękkiej sonaty Szostakowicza skonstruowanej z nieoczekiwaniem jaskrawym, wyrazistym i specyficznym granym Bachem, poprzez bardzo indywidualnie konstruowaną „Arpeggione” aż do oszczędnej pod względem wyrazowym Chopina (tu także popis pianisty!) fascynująca osobowość i wielka pasja Daniela Szafrana trzymała nas w magicznym kręgu oddziaływania genialnej sztuki i prawdziwego piękna. Trudno byłoby tu analizować sposób gry radzieckiego wirtuoza, zwrócę więc tylko uwagę na to, co stanowi o jej oryginalności; specyficzną intonację i zupełnie nieo-

czelowej w kwartecie Mozarta; pierwszoplanowa jego rola wynikała także i stąd, że trzy kwartety „Pruskie” dedykowane były królowi Fryderykowi Wilhelmowi, który umiejtności wirtuozowskich nie posiadał, wiodącą rolę obdarzył przeto Mozart wiolonczelistę.

Dobrze znany melomanom z wykonania wielkich dzieł oratoryjno-kantatowych Chór UMCS prowadzony przez Jadwigę Czerwińską potwierdził swoją dobrą markę w programie, który moim zdaniem odznaczał się zbytnim „materii pomieszaniem”: chorał Bacha obok *Wiktory* Malawskiego, Jannequin i Scarlatti obok Kasperna! Ciekawiej wypadłby chyba koncert poświęcony utworom jednej epoki...

I na koniec *Historia żołnierza* Igora Strawińskiego do tekstu Ramuza — dzieło odzwierciedlające przemiany, jakie dokonały się w muzyce lat dwudziestych naszego wieku. Siedmioosobowy zespół kameralny (złożony z lubelskich filharmoników) pod batutą Grzegorza Sutta wykazał się kunsztem interpretacyjnym i technicznym, a realizowana przezeń akcja muzyczna, wyrazista, finezyjna i efektowna, spletała się z „partią” narracji słownej (Wojciech Siemion).

VII Nałęczowskie Divertimento należy już do historii. Miejmy nadzieję, że kolejne festiwale dostarczą melomanom sposobności do muzycznych przeżyć, dużego formatu, a wykonawcom przysporzą artystycznych satysfakcji.

STEFAN WOŁSKI

ULAMEK WESTCHNIENIA

Nieśmiertelne zielenie nadziei
nie starzeją się
jednak nie odchodzą
przemycają swą zwykłość rzekomą
przez trwania noc na powiekach snu
albo przez warkot lecących tygodni

Ich nieustępliwość jest godna podziwu
ale jest to także jak groźny błysk lufy
zza maski przyjaźni

Nawet w górach lub nad morzem
w zlocistych zatokach spełnienia
gdy wieczór sięga pełną zachwycenia
dłonią po słońce za ścieżką przez fale

twój czujnik ukryty pod sercem
natychmiast włącza system alarmowy
szelki oporów złud i wątpliwości
już atakują i czerwień i zieleń
i każdą pełnię podobną do szczęścia

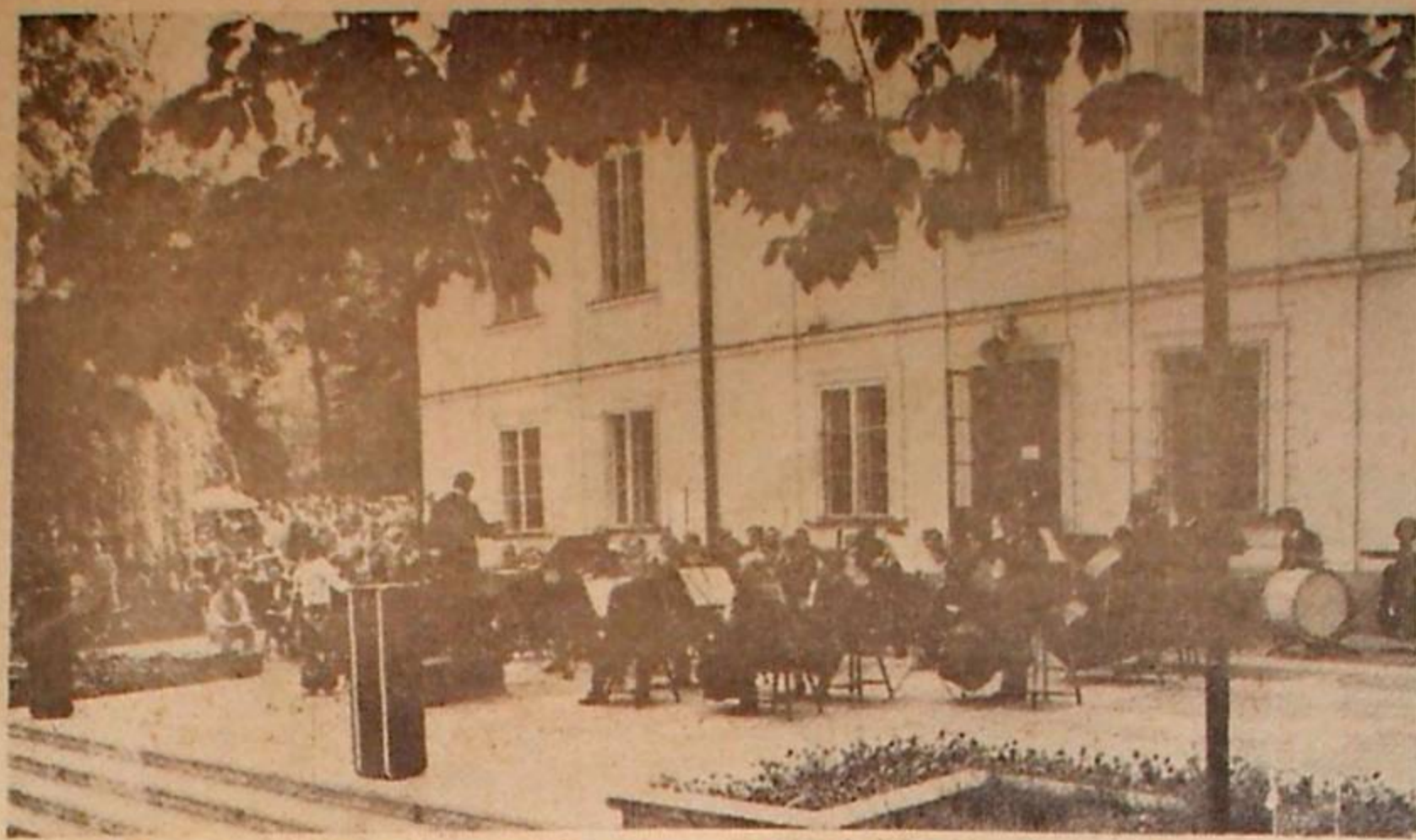
A przecież wszystko to wszystko jest

gdy sztorm nadciąga
ten jeden największy

Dlatego myślę o głębi oddechu
wygiętej w bezmiar widnokregu życia
gdy prędko szorstkim słowem do niej dączę
by urastała do wielkości strofy
to wtedy właśnie w nieśmiałym pośpiechu
przybiega akord już dawno gotowy

Fale największa gdy lot mój zatrzymasz
ażebym z chmury zszedł w twardą toń ziemi
wówczas niech z tobą też miłość przyptynie
choćby na jeden ulamek westchnienia

nieczym



VII Nałęczowskie Diverčmento. Koncert Państwowej Filharmonii Lubelskiej

Fot. J. Polski

Radiowe spotkania Bielików z Matysiakami

Zdzisław Czapliński

MATYSIAKOWIE mają miliony zapalonych zwolenników i sympatyków. Ta najdłuższa radiowa powieść znalazła wiernych naśladowców w bratnich radiofoniach: w Niemieckiej Republice Demokratycznej — rodzina Neumannów, na Węgrzech — rodzina Szabo i ostatnio w Słowacji — rodzina Bielików.

Twórcą tej ostatniej jest redaktor naczelny redakcji programów literackich, teatru radiowego i programów rozrywkowych Radia Czechosłowackiego w Bratysławie, Emil Benčík, długoletni warszawski korespondent bratysławskich dzienników centralnych „Pravda” i „Smena”. Ojciec chrzestny Bielików, jak go popularnie w Bratysławie nazywają, powie nam na temat koncepcji tej słowackiej powieści radiowej:

— Chcemy aby Bielikowie byli rodziną żywą, czynnie zaangażowaną w to wszystko, co dzieje się w naszym kraju, aby pozostali rodziną sympatyczną, której słuchacze powierzają swoje sprawy, z którymi się identyfikują. Aby Bielikowie byli im bliscy i potrzebni. Pragniemy, aby rodzina ta dawała słuchaczom poczucie wartości i zadowolenia z dobrze wykonywanej pracy, wiarę w ludzi i przekonanie, że opłaci się żyć uczciwie i godnie dla swojej rodziny, dla innych, dla przyjaźni, dla społeczeństwa. Jednocześnie chcemy zwrócić uwagę na takie zjawiska, jak drobnomieszczaństwo, snobizm, plotkarstwo, złodziejstwo, karierowiczostwo, brak kultury. Przeszłość naszego serialu rodzinnego widzimy w jeszcze większym zbliżeniu do problematyki współczesnej.

Bielikowie nie chcą jednak żyć w opłotkach swojego kraju. Trzy lata temu z inicjatywy wspomnianej redakcji odbyło się w Bratysławie pierwsze spotkanie kierowników powieści radiowych sąsiadujących ze sobą państw socjalistycznych. Zapoznano się, wymieniono doświadczenia, podlano to suto smakowitym słowackim winem i w przyjaźni pożegnano się. Od owego spotkania datuje się współpraca programowa naszych radiofonii w omawianej dziedzinie.

A wszystko zaczęło się, jak to czasem w życiu bywa, od przypadku. Kasia Matysiakówna spędzała wakacje w Zakopanem. Pewnego razu wybrała się na wycieczkę w Słowackie Tatry. W Starym Smokowcu zapoznała się z młodym, sympatycznym chłopcem, Duszanem Bielikiem, który przebywał tutaj na szkolnej brygadzie, czyli po polsku — w ohołotnym hufcu pracy. Młodzi, jak to młodzi: spodobał się sobie i zaczęła się normalna młodzieńcza miłość.

Później wędrują listy z Kamienicy koło Bratysławawy (fikcyjne miasteczko rodzinne Bielików — na zboczach Małych Karpat, gdzie rodzi się dobre słowackie wino „Tramin”) do Warszawy na ulicę Dobra. I odwrotnie. Niebawem ojciec Duszana, Ondrej Bielík, wyjeżdża służbowo do Polski jako specjalista od montażu. Po drodze zatrzymuje się w Warszawie i odwiedza Matysiaków, aby popatrzeć: co to za rodzina? Przyjmują go nader serdecznie i mimo początkowych trudności językowych zawiązuje się między Józefem Matysiakiem i Ondrejem Bielikiem, głowami obu rodzin, szczerą przyjaźń. Ondrej zaprasza Matysiaków do Bratysławawy.

Kasia dwukrotnie przyjeżdża do Bratysławawy, spotykając się z Duszanem. Oboje młodzi zdają sobie sprawę, że sympatie na odległość nie są pewne i nie obędą się bez trudności. Od początku są jednak szczerze zainteresowani sobą, poznawaniem swoich krajów, języków, kultury, historii. Więcej obaw i

zmartwień przynosi rodząca się miłość rodzicom, zarówno tym z Kamienicy, jak też w Warszawie. Jest to zrozumiałe.

W ubiegłym roku wybrał się na zwiazy do Matysiaków sąsiad i najlepszy przyjaciel rodziny Bielików, wujek Adam Tajgalić (matysiakowski pan Klemens Kolasiński), spędzając w Warszawie u Matysiaków święta Bożego Narodzenia. Wyjątkowo miłe wspomina w kolejnym radiowym odcinku Bielików tę wizytę.

Ale co będzie dalej? Jak potoczą się losy przyjaźni i miłości jeszcze bardzo młodzieńczej najmłodszych potomków obu rodzin? Tego nie mogą przewidzieć ani Kasia i Duszan, ani Matysiakowie i Bielikowie. Nie mogą tego również przewidzieć nawet sami autorzy radiowego serialu. No cóż, życie pokaze...

Do maja bieżącego roku w Polskim Radiu nadano sześć odcinków poświęconych Bielikom i Słowacji, a w Bratysławie pięć odcinków i dwie audycje na temat wymiany listów. Miliony słuchaczy powieści radiowych w Polsce i w Słowacji z niesłabnącym zainteresowaniem czekają na dalsze spotkania obu rodzin.

Skoro jesteśmy już przy współpracy radiofonii polskiej i słowackiej, godzi się odnotować, iż nie ogranicza się ona bynajmniej do przyjaźni Matysiaków z Bielikami. Często, zarówno przebywając w Pradze, jak też goszcząc w Bratysławie, mam okazję stwierdzić na „własne uszy”, że sprawy polskie w Czechosłowackim radiu w Bratysławie są prezentowane niezwykle bogato i na wyjątkowo wysokim poziomie.

Emil Benčík mówi m. in. na ten temat:

— Nasza Naczelna Redakcja Programów Literackich, Teatru Radiowego i Programów Rozrywkowych we współpracy z odpowiednikiem w waszej redakcji w Polskim Radiu już od lat podejmuje liczne wspólne akcje. Rokrocznie z okazji Święta Odrodzenia PRL organizujemy w Bratysławie wielką imprezę pn. Tydzień Literatury Polskiej. Obecnie przygotowujemy wspólnie z Ośrodkiem Informacji i Kultury Polskiej w Bratysławie Wieczór Poezji Słowackiej w przekładzie na język polski — będzie to spotkanie z poetami słowackimi i tłumaczami polskimi. W przyszłym roku podobny Wieczór Poezji Polskiej tłumaczonej na język słowacki odbędzie się w Bratysławie. W tym roku jesienią Radio Czechosłowackie w Bratysławie wspólnie z OIKP organizuje spotkanie rodzin Matysiaków i Bielików ze słuchaczami słowackimi.

Redaktor Emil Benčík nie powiedział wszystkiego. Dodam od siebie, że w 1977 roku z fal eteru bratysławskiego radia dotarły do słowackich słuchaczy znakomite inscenizacje teatru radiowego takich polskich pisarzy, jak: Juliana Kawalca, Władysława Terleckiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Ernesta Brylla i Andrzeja Mularczyka.

Bardzo popularni są polscy poeci, których wiersze emitowane są wyjątkowo często przez bratysławskie radio. W okresie ostatnich 15 miesięcy recytowane były wiersze i poematy: J. Hałasymowicza, J. Kochanowskiego, J. Tuwima, T. Borowskiego, J. Iwaszkiewicza, J. Czechowicza, T. Nowaka, Z. Herberta, T. Kijonki, T. Różewicza, K. I. Gałczyńskiego. Półgodzinne audycje polskiej prozy prezentowały między innymi takich pisarzy, jak: E. Orzeszkowa, J. Iwaszkiewicz, T. Nowak, Centiłowiczowie i inni.

MŁODA POEZJA WĘGIERSKA

János Madár

MOJA MATKA

Znam świat
z twoich
ust.
Ty nadałaś nazwy
kamieniom
arzewom
i niebu.
Twoja jest Ziemia
twój Księżyc
i morze.

MÓJ OJCIEC

Zycie dobiegło już kresu
Rozbierają ściany twojej twarzy
Nad ruinami krążą
Nieskończone noce



rys. E. Implet

Imre Kerék

LECIAŁBYM Z NIMI

Szeleszczą jak skrzydłami
pierzastolistne drzewa
są stale w pogotowiu
odlecieć w przestrzeń nieba

Nie jesteś tu. Wymarzę
co najmniej twoje oczy
być może sen pozwoli
pod skórę słońce wtłoczyć

Patrzę na nagie drzewa
jak biorą w dzioby niebo
leciałbym z nimi, gdybym
nie musiał wrastać w beton.

Zoltán Miháti

NIECH NIE BIJE MNIĘ KAMIEŃ

Uciekam z ciemnej zagrody
Wybiegam z dennego mroku
Wyrwam się mackom nocy
Czy boję się czarnej jak smoła nienawiści?
Czy odbiegam od twojej twarzy Antarkidy?
Czy uciekam od przekleństwa?

Pragnę światła wielkości atomu
Skrzydeł ptaka
patrzę z tęsknotą na drobną piąstkę
dziecka

Oby kamień nie trafił mnie w skroń!
Z węgierskiego przełożył Istvan Grabowski

Äustria - Polska

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Jest pan redaktorem naczelnym czasopisma „Osterreich — Polen”, mającego już swój wkład w rozwój stosunków gospodarczych i kulturalnych między obu krajami, które rokrocznie z okazji Międzynarodowych Targów w Poznaniu ukazują się także w języku polskim. Dobra poligrafia, szczęśliwe proporcje między rzeczą publicystyczną a sugestywną reklamą — oto rzucające się w oczy cechy periodyku, którego komitet redakcyjny składa się z nie byle jakich osobistości ze świata nauki i sztuki. W stopce redakcyjnej widzę także nazwisko radcy dworu.

THEODOR KANITZER: — Widzi pan, stosunki polsko-austriackie układają się bardzo pomyślnie, wśród państw socjalistycznych Europy właśnie Polska jest naszym największym partnerem gospodarczym. Zbliżenie w tej sferze poprzedziły przecież kontakty innego rodzaju, mające już sporą tradycję. Dość powiedzieć, że Towarzystwo Austriacko-Polskie istnieje równie dłużej niż dwadzieścia lat.

JKK: — A jego prezydentem, od siedmiu lat, jest właśnie pan.

THEODOR KANITZER: — Pewnym przyczynkiem do naszej rozmowy mo-

że być informacja, że w zarządzie TAP reprezentowane są wszystkie ważne partie i państwowe fabryki Austrii. Funkcję prezesa honorowego naszego stowarzyszenia pełni b. wicekanclerz rządu, dr Fritz Bock, konsekwentny antyfaszysta. Na tej liście spotka pan także nazwiska: dr. Christiana Brody, ministra sprawiedliwości; profesora Waltera Koschatzky'ego, dyrektora „Albertiny”; dr. Viktora Matejki, byłego więźnia obozu hitlerowskiego w Dachau, współzałożyciela Towarzystwa, mecenas sztuki i literatury. Ponadto w zarządzie zasiadają takie osobistości, jak redaktor naczelny socjalistycznej „Arbeiter — Zeitung”, dr Manfred Scheuch, czy komendant wojskowy Wiednia, brygadier Karl Schrems. Obok licznych przemysłowców spotka pan humanistów: znanego tłumacza z literatury polskiej, Oskara Jana Tauschinskiego, lub sławistę, dziekana Uniwersytetu Wiedeńskiego, prof. dr. Günthera Wytrzensa... Taki skład zarządu umożliwił nam operatywne i wszechstronne działanie. Czy pan wie, że Zespół Tańca Ludowego UMCS „Lubliniacy” występował w koszarach wojskowych — z okazji „Dni Lublina w Wiedniu”? Nie był to koncert galowy, ale była to na pewno dobra propaganda polskość: przecież na widowni siedzieli młodzi żołnierze, którzy nie zamykali też oczu, kiedy ich pułkownik



całował polską skrzypaczkę z kapeli. Relację z tego występu zamieściła ponadto gazeta wojskowa.

JKK: — Towarzystwo było głównym organizatorem wiedeńskich „Dni Lublina”...

THEODOR KANITZER: — Pół roku przygotowaliśmy imprezę. A teraz, w związku z 20-leciem Towarzystwa Polsko-Austriackiego (1979), pragniemy nadal rozwijać kontakty także i z naszym ujmującym miastem, które posiada jeden z najsympatyczniejszych... hoteli w Polsce — „Unię” oraz rzeczywiście prężnie i racjonalnie działające Polonijne Centrum Kulturalne UMCS. Dobrze układa nam się współpraca z tą instytucją, wspólnie planujemy cały cykl imprez. Natomiast w Austrii pozwolujemy komitetowi budowy pomnika Jana III Sobieskiego, jako że za pięć lat minie okrągła rocznica zwycięstwa polskiego króla pod Wiedniem. Jak dotąd, publicznie o tym historycznym wydarzeniu przypomina tylko ulica imienia Jana III.

JKK: — Panie doktorze, pełni pan jeszcze jedną funkcję, a mianowicie: prezesa zarządu Międzynarodowego Towarzystwa im. Chopina w Wiedniu, które zainicjowane w 1952 roku — w 1971 zostało uhonorowane przez nasze władze

odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

THEODOR KANITZER: — Powracając do początkowego wątku prowadzonej przez nas rozmowy, chciałbym zwrócić uwagę, że członkiem honorowego Prezydium jest pani Hanna Karczewska, żona, małżonka prezydenta Austrii. Wśród członków zarządu także znajduje się pan wybitny osobistość ze świata kultury. Do niedawna, do swojej śmierci, był wśród nich i Witold Lubiczowski, znakomity polski pianista. Co robimy? Wydajemy „Rocznik Chopinowski”, okazjonalnie — „Kartki Chopinowskie”, organizując jednocześnie recitale wybitnych wirtuozów i pełne cykle koncertowe. Sam sprowadzałem do Wiednia na występy Barbarę Heise-Bukowską, Halinę Czerny-Steinowską czy Adama Harasowicza. Urządzamy ponadto wystawy, współpracujemy z Towarzystwem Fryderyka Chopina w Warszawie. W październiku zamierzamy zorganizować duży koncert z udziałem artystów polskich, połączony z ekspozycją p.n. „Chopin w Polsce”. Planujemy ponadto większą liczbę odczytów naukowych o tematyce muzycznej, stosowne seminaria i dalszy rozwój kontaktów z sympolikami muzyki Chopina na całym świecie. Jesteśmy wszak towarzystwem międzynarodowym, co zresztą ilustruje skład naszego zarządu.

JKK: — Proszę wybaczyć, ale czy pan grywa na jakimś instrumencie?

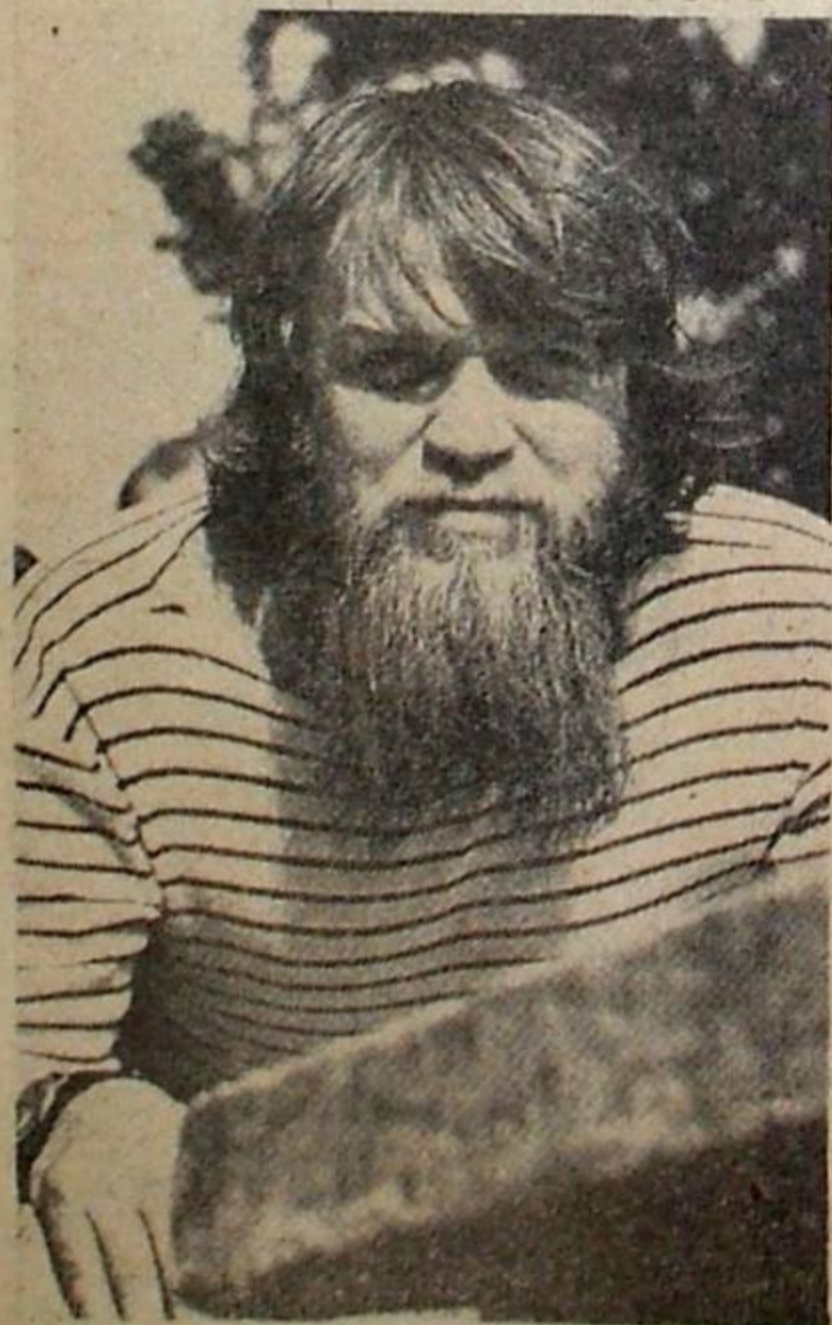
THEODOR KANITZER: — No cóż, odpowiem... Dzieckiem będąc grałem na skrzypkach i fortepianie. Ale studiowałem coś zupełnie innego, mianowicie nauki społeczno-polityczne. Nadal jednak lubię muzykę i trochę żałuję, że okoliczności nie zezwoliły mi na naukę w konserwatorium.

JKK: — Mówi pan nieźle po polsku.

THEODOR KANITZER: — Moja rodzina pochodziła z Galicji, rozumie pan?!

JKK: — Doskonale. Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia — pod pomnikiem Sobieskiego w Wiedniu. Tymczasem serdecznie gratuluję odznaczenia pana przez nasze władze Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi PRL.

MAŚLUSZCZAK



Fot. Z. Rytko

SPOKOJNY, uporządkowany wewnętrznie Franciszek Maśluszczyk lubi sobie pooglądać perwersyjnie z obserwatorem jego twórczości malarskiej, rysunkowej czy graficznej, której fragment widzieliśmy w czerwcu w sali lubelskiego BWA. Na niewielkich płótnach lub na deskach autor gromadzi kilkunastobowe czy nawet licznější grupy ludzi, którzy nie wysilają się zbyt, aby nawiązać ze sobą żywszy kontakt personalny, choć bywa i tak, że oblapują się wzajem w geście ni to lubieżnym, ni to sadystycznym. W gruncie rzeczy wszyscy oni są sobie obcy, każdy z nich myśli tylko o sobie. I nie wiadomo przy tym, kto jest kto: mężczyźni (raczej chłopcy) przypominają zarysem twarzy kobiety (dziwczęta?), opięta pasem dożgonnej wspólnoty para uśmiecha się do nas słodko, ale my jej jakoś nie wierzymy, choć trudno powiedzieć jednoznacznie, dlaczego. Poza tym Maśluszczyk wyprowadza w pole skłonnością do dysproporcji: aktorzy jego spektakli, opartych na swoistej „szepowanej dramaturgii”, głowy mają duże, a pod względem wzrostu reprezentują bardzo szeroki wachlarz genetycznych możliwości natury, z tym, że niżsi zmierzają w górę przy pomocy malowanych sześciaków, na które wspinają się w nadziei dorównania innym, czy może — godnego przedstawienia się widzom. Właśnie odnośnie wrażenia, że zaciukanym, obtoczonym we własnym „Ja” postaciom z obrazów Maśluszczyka zależy mimo wszystko na opinii drugiej strony obrazów, którą tworzymy my, widzowie. Jakże często bowiem sytuują się frontalnie, wyglądają z ram — patrząc swoimi wielkimi oczyma prosto w nasze, trochę po pewnym czasie rozbiegane w niepokoju, w pogoni za kluczem do tej twórczości, w śledztwie w sprawie kondycji ludzkiej, która konsekwentnie, od pierwszych (1973) rysunków w „Ty i Ja” oraz „Literaturze” prowadzi Franciszek Maśluszczyk, człowiek ukształtowany po drugiej wojnie, urodzony w 1943 roku w Kotlicach, między Zamościem a Hrubieszowem, co zresztą niektórzy eksponują w momencie przeprowadzania sekcji twórczości, mieszkającego dziś w Warszawie.

No bo tak: Maśluszczyk deformuje malowane (czy rysowane) postaci, kształtuje je jakby nieporadnie, twarze modeluje kanciasto i wylupiało — a zatem mamy do czynienia z plastyką „nałwną” w ludowej redakcji, posługującą się nieskomplikowaną symboliką...

Nie bardziej mylnego, co zresztą zauważył już Maciej Gutowski, określając malarstwo Maśluszczyka jako przewrotne i wyrafinowane. Autor „Fascynacji” i „Potrojnej zgody” nie tylko bowiem proponuje nam obrazy łków codziennych, których wielu z nas doświadcza, ale jednocześnie skłania do uśmiechu, czego przykładem pierwszym z brzegu „Pierwsze zetknięcie”, przedstawiające długowłosego faceta na kolanach wpatrzonej weń damy. Między ich dłońmi przewija się coś wężykowego...

Poza tym Maśluszczyk ma pełną świadomość natury malarstwa, daleki jest od załatwiania sprawy anegdoty czy symboliki. Ceniąc Cybisa i innych kolorystów; jeszcze dzisiaj tu i ówdzie odsądzając od czci i wiary za upowszechnienie w narodzie uwrażliwienia na wartości wyłącznie fakturalne, autor dba o porządek malarski w obrazie w sposób nie tyle banalny, co obsesyjny — choć ukonczył Wydział Grafiki ASP w Warszawie (1974), specjalizując się na dodatek w projektowaniu książki. Kolor w jego obrazach jest zresztą ważną komponentą klimatu emocjonalnego płócien, biorąc także udział w budowie metafor.

A przy tym wszystkim Maśluszczyk demonstrowa czasami dystans do przedstawianego przez siebie świata, podpowiadając nam, że jest to w końcu malarstwo, specyficzny rodzaj sztuki, żeby nie rzec — szlachetnego i jakoś koniecznego kuglarstwa. Oto w jednym z obrazów niewielki człowiek zdaje się rozdzierać dłonią płótno, wkładając ją w powstałą dziurę. Jest to namalowane tak realistycznie i sugestywnie, że ma się ochotę własnoręcznie sprawdzić, co takiego kryje się w tym otworze, prowadzącym albo na odwrócić obrazu, albo — czy już wiem — w czwarty wymiar...

Franciszek Maśluszczyk jest starszym asystentem Zakładu Rysunku, Malarstwa i Rzeźby Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Uczy studentów jak rysować, nie posługując się wyłącznie tzw. sianem. To zrozumiałe, za to mu płacą. Ale Maśluszczyk robi coś jeszcze, zupełnie bezinteresownie: zbiera szkice studyjne swoich słuchaczy i przesyła je do archiwum uczelni. Proszę państwa: ani w akademiach sztuk pięknych, ani w wyższych szkołach plastycznych, ani tym bardziej w politechnikach nikt żywiej nie dba o dorobek studentów. Prace dyplomowe niby powinny być przechowywane przez uczelnie, ale w praktyce z reguły ulegają one zniszczeniu lub rozproszeniu, czego smutnym dowodem to, co stało się z gipsowymi, wstrząsającymi swoją ekspresją odlewami „Beni” — Eugeniusza Wygowskiego w warszawskiej ASP.

A tu tymczasem Maśluszczyk, trzydziestolatek za ledwie, chroni od zapomnienia studenckie etudy, bo — jak mówi — są to rezultaty ludzkiej roboty i myślenia, a takie rzeczy wymagają szacunku. Czyżby w plastyce pojawiło się pokolenie czule na tradycję własnego środowiska? W Polsce o tradycję dbają wszyscy: literaci, muzycy, aktorzy teatralni i filmowcy — tylko nie plastycy, przynajmniej dotychczas.

JKK

P.S. Czy kompetentne instytucje mogłyby publicznie wyjaśnić, co się dzieje i jakie będą losy pracowni-muzeum biograficznego Zenona Kononowicza przy ul. Skłodowskiej w Lublinie? Liczymy na odpowiedź Muzeum Okręgowego i ZPAP.

BOHATEROWIE ADRIATYKU

Stanisław Majewski

TITOWSKA Flota Wojenna na Adriatyku przystąpiła do działań bojowych mając do dyspozycji zwykłe drewniane łodzie rybackie, obłożone workami z piaskiem. Szczupłe i chętnie zalogi, uzbrojone w karabiny ręczne i granaty, w cięższe lub lżejsze karabiny maszynowe, podjęły walkę partyzancką na morzu już w 1941 roku. Jakże często abordażem, gołymi rękami — dosłownie i w przenośni — atakowano uzbrojonego po zęby wroga i odnoszono zwycięstwa. Bronią zdobywaną na wrogu uzbrajano drewniane łodzie i kutry, rozwijające niewielką szybkość i atakowane nieprzyjaciela na morzu. Jakże były początki tej floty, łatwo można wnioskować z kilku zdań wypowiedzianych przez Josipa Broz Tita z okazji święta Marynarki Wojennej FSRJ:

„Wydzielony został sztab i baza w Podgori. To było wszystko, co mogliśmy uczynić. Rezygnując ostatecznie w terenie. Ja osobiście byłem głęboko przekonany, że nasi ludzie w Dalmacji posiadają dość siły i odwagi, żeby obrzucić życie okupantowi również na morzu.

Począwszy od jesieni 1943 roku, aż do zwycięskiego zakończenia wojny, partyzanckie łodzie i kutry, żeglujące po Adriatyku w niezwykle ciężkich warunkach — nieustannie walczą z wrogiem i burze sztormowe — dzięki najwyższemu poświęceniu załóg przewiozły około 90 tysięcy partyzantów z pełnym wyposażeniem bojowym i około 50 tysięcy rannych oraz niezliczone rzesze uchodźców: kobiet, dzieci i starców, szukających schronienia przed bestialstwami faszystów. Flota partyzancka przeprowadziła także liczne poważne operacje bojowe i akcje desantowe, atakując na lądzie i morzu dobrze przygotowanego do walki nieprzyjaciela, odegrała też znaczną rolę przede wszystkim w walce o utrzymanie w rękach sił powstańczych wysp przybrzeżnych, bez których nie do pomyślenia byłoby stałe zaopatrywanie oddziałów toczących walki na lądzie, ani utworzenie drogi ewakuacyjnej na wyzwolone przez aliantów terytorium Włoch.

PIERWSZA ZDOBYCZ NA MORZU

Ścisła kontrola ruchu ludności na okupowanym terytorium Jugosławii, prowadzona we wszystkich środkach komunikacji lądowej, rewizje osób na dworcach i w pociągach, praktycznie przekreślała możliwość komunikowania się odległych miast i miejscowości; zwłaszcza wyspy na Adriatyku były ściśle izolowane. Taki stan rzeczy zmusił organizację partyjne do utrzymywania łączności drogą morską, gdzie kontrola okupanta była luźniejsza. Rybackimi łodziami przeprawiano działaczy podziemia oraz broń, przekazywano dyrektywy partyjne, prasę nielegalną i przewożono ochotników do formowanych oddziałów partyzanckich w górach Biokowa. Akcje te przeprowadzane były poza zasięgiem nieprzyjacielskich statków patrolowych.

Do pierwszej potyczki na morzu, która zakończyła się wzięciem do niewoli ustaszowskiego żaglowca „Merkur”, a później odwetowym bombardowaniem z morza pozycji partyzanckich, doszło na wysokości portu Gradac, 24 stycznia 1942 roku.

Nocą, 22 stycznia, żandarmeria ustaszowska ujęła siedmiu konspiratorów z bronią w reku. Miejscowy komitet partyjny powziął decyzję zbrojnego odbicia aresztowanych towarzyszy. Oto, jak relacjonuje przebieg tej akcji, jeden z jej uczestników, Ante Benić:

— Przewidywaliśmy, że następnego dnia żandarmi zechcą odstawić aresztowanych towarzyszy do Makarskiej, dlatego plan odbicia powstał jeszcze tej samej nocy. Nie wolno było zwlekać z podjęciem decyzji, gdyż całej siódemce groziła niechybna śmierć. Zgodnie z przyjętym planem dziesięciu uzbrojonych towarzyszy miało oczekiwać w zasadzce na pojawienie się konwoju aresztanckiego, na drodze z koszar żandarmerii do przystani. Po odbiciu więźniów, korzystając ze wsparcia uzbrojonych członków podziemia, planowano zdobyć koszar żandarmerii i celników. Chodziło o broń dla ruchu oporu. Po zrealizowaniu planu zamierzaliśmy uciec z Gradca do oddziałów w górach. Żeby przeszkodzić nadejściu posiłków, postanowiono przeciąć linię telefoniczną i telegraficzną, zaminować wszystkie drogi dojazdowe i przygotować zasadzkę na ustaszów i Włochów, których spodziewano się z kierunku Makarskiej.

Tę nocą, po naradzie towarzyszy partyjnych, sekretarz miejscowego komitetu, Zivko Serić, pieszo wyruszył do Makarskiej oddalonej o 42 kilometry, żeby poinformować o wydarzeniach w Gradcu komitet okręgowy partii. Po drodze zaparkował towarzyszy we wsiach Briata, Podac, Zaostrog i Drvenik, którym też objaśnił zadania, związane z przygotowywaną akcją. Drugi kurier podążył do Baciń w kierunku Metkovića.

Statek, którym w dniu 23 stycznia żandarmi zamierzali odstawić aresztowanych do Makarskiej, wskutek złych warunków atmosferycznych nie zatrzymał się w Gradcu i żandarmi nawet nie wyszli poza bramę koszar. Cała sprawa przysięła przez to inny obrót. Nalotem uszkodziliśmy wszystkie statki motorowe, które schroniły się w porcie, żeby

żandarmi nie mogli ich wykorzystać dla transportu więźniów. Później pojawiło się na ulicach wielu młodych ludzi z fuzjami tylnymi w rękach, domagających się udziału w walce. Nawet ludzie nie posiadający broni pragnęli uczestniczyć w akcji.

Grupa partyzantów, nie napotykając żadnego oporu, rozbroiła celników, zdobywając dwanaście karabinów i jeden pistolet. W pewnej chwili partyzanci natknęli się na ulicy na znanego ze złej sławy notownika ustaszowskiego — Jozę Medara i Metkovića, który z nieznanymi powodów pojawił się w Gradcu. Partyzant Vlado Ujdurović położył go trupem za pierwszym strzałem.

Miała grupka ludzi, przygotowana pierwotnie do przeprowadzenia akcji odbicia więźniów, urosła niebawem do kilkudziesięciu uzbrojonych i na wszystko gotowych partyzantów. Nadeszła też pomoc zbrojna z Baciń — dwudziestu pięciu ludzi z bronią w ręku.

Heroizm narodów Jugosławii — sławnych bojowników titowskich — znany jest całemu światu. Jednakże tylko nieliczni wiedzą o walce toczonej przez jugosłowiańskich partyzantów — marynarzy na wodach Adriatyku. Przedstawiamy nieznane epizody z drugiej wojny światowej, poświęcając uwagę tym, którzy pierwsi i jedyjni prowadzili działania partyzanckie na morzu — Flocie Wojennej Narodowo - Wyzwoleńczej Armii Jugosławii. Wybrane epizody stanowią fragmenty z przygotowywanej do druku książki Stanisława Majewskiego „Bohaterowie Adriatyku”, która ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.

Koszary żandarmerii mieściły się w solidnym, murem budynku, liczącym trzy piętra, położonym na trudno dostępnym wzgórzu. Żandarmi, wezwani do poddania się, odpowiedzieli ogniem. Wtedy przystąpiliśmy do ataku, ale bez rezultatu i trudno się temu dziwić, gdyż wówczas nie mieliśmy jeszcze żadnego doświadczenia w walkach ulicznych, ani też broni odpowiedniej do rozprawienia się z przeciwnikiem ukrytym w takiej twierdzy.

Podczas naszego ataku siedmiu więzionych towarzyszy, chociaż skuci byli kajdanami, próbowało rozbić drzwi i zaatakować żandarmów. Jednakże żandarmi otworzyli ogień, strzelając przez drzwi do aresztantów Zabili Andrija Andrijaševića, ranił ciężko Viekoslava Viskicia. Inicjator buntu w celi, towarzysz Milan Stipić, został przez żandarmów zakłuty nożami a jego martwe ciało wyrzucano przez okno z trzeciego piętra.

Drugiego dnia oblężenia otrzymaliśmy wiadomość, że do portu wchodzi jakiś żaglowiec. Natychmiast wysłano do przystani dziesięciu uzbrojonych ludzi, którzy mieli przyjąć gościa. Ich zadaniem było nie dopuścić do zejścia na ląd odsieczy dla obleganych żandarmów.

Ponieważ tego dnia dął silny wiatr wschodni ze śniegiem, statek zdrażający z Metkovića płynął tuż przy samym brzegu. Kiedy zbliżył się do portu stwierdzono, że załadowany jest towarem, bez konwoju wojskowego.

Towarzysz Vitomir Viskić wraz z dwoma uzbrojonymi partyzantami wypłynął łodzią wiosłową na spotkanie z przybyszem. Zatrzymał statek i wszedł na jego pokład. Właścicielowi rozkazał wplynieć do portu. Ten, widząc że to nie żarty, podporządkował się partyzantom. Był to żaglowiec motorowy „Merkur”, przewożący 110 ton żywności dla garnizonu ustaszowskiego w Ormišu.

Miejscowy komitet partyjny, który w tych burzliwych godzinach spełniał rolę sztabu rewolucyjnego, zdecydował, że cała żywność przekazana zostanie na potrzeby partyzanckie. Część towarów rozdzielono jednak wśród głodującej ludności Gradca. Statek jeszcze tej samej nocy odpłynął, pod konwojem partyzanckim do Ploča, gdzie wylądowano żywność dla oddziałów partyzanckich.

Trzeciego dnia oblężenia koszar otrzymaliśmy wiadomość, że do Gradca skierowane zostały drogą morską wojskowe oddziały Włochów. W tej sytuacji, gdy groziła walka na dwa fronty — z żandarmerią w koszarach i oddziałami wojskowymi, których siły znać nie mogliśmy, doszliśmy do wniosku, że dalsza walka nie może przynieść oczekiwanego rezultatu — uwolnienia więzionych towarzyszy. Komitet partyjny powziął decyzję o wycofaniu się w góry. 25 stycznia wymarzerowaliśmy z miasta...

Wydarzenia w Gradcu miały doniosłe znaczenie polityczne nie tylko dla całego obszaru Biokowa,

lecz i terytorium południowej oraz środkowej Dalmacji. Była to bowiem pierwsza akcja zbrojna w strefie wybrzeża, na południe od Splitu, podczas której doszło również do pierwszej akcji zbrojnej na morzu. W kilka dni po opisanych wydarzeniach, w górach Biokova sformowany został oddział partyzancki liczący ponad stu bojowników.

COJMY RĘKAMI

Mały Iż — to mała, pagórkowata wyspka na Adriatyku, porośnięta gajami oliwnymi, o powierzchni zaledwie dwudziestu kilometrów kwadratowych. Przed wojną żyło tam niewiele ponad dwa tysiące osób, utrzymujących się głównie z rolnictwa i rybołówstwa. W końcu lipca 1942 roku Mały Iż stał się sceną dramatycznych wydarzeń, które zapisały się w historii walki narodowo-wyzwoleńczej narodów Jugosławii jako Powstanie na Iżu.

W połowie lipca okupant przystąpił do bezpardonowej rekwizycji oliwy u biedoty plantatorskiej na całym archipelagu wysp Kornackich. 25 lipca nadeszła kolej na wyspę Mały Iż. Chociaż oliwki obrodziły tego roku i oliwy było pod dostatkiem, wyciarki musieli jednak bardzo oszczędzać, gdyż Włosi zapieczętowali całą produkcję w młynach, przydzielając jedynie po kilka litrów oliwy na cały rok, dla każdego członka rodziny.

Dopóki oliwa znajdowała się w beczkach i kamiennych zbiornikach, w dwu młynach zapieczętoowanych przez okupanta, istniała jakaś nadzieja, że dostanie się ona tym, którzy ją w trudzie i mozole wypracowali. Kiedy jednak rozszalała się wieść, że następnego dnia, 25 lipca 1942 roku, statek włoski wywiezie wszystką oliwę z wyspy, dłużej nie można było zwlekać...

Miejscowy komitet partyjny, któremu przewodził Sime Lukin Babac, działając w duchu dyrektyw partyjnych, postanowił nie dopuścić do obrabowania wyspiarzy.

Po zapadnięciu nocy dziesięciu komunistów wyłamało żelazne drzwi młynów. Ciężkimi młotami porozbijali kamienną zbiorniki, z których wyciekło do zatoki ponad trzy tony oliwy. Dziewięć metalowych beczek z oliwą załadowali na łodzie rybackie i wiosłując zawzięcie popłynęli w kierunku wyspki Ugljan, by tam ukryć beczki w pieczarze. Letnia noc była zbyt krótka, by mogli pozwolić sobie na wypoczynek. Szybko wrócili na Mały Iż, gdyż jeszcze przed nastaniem świtu łodzie musiały znaleźć się na swoich miejscach.

Więść o akcji przeprowadzonej nocą przez komunistów iżanckich obiegła wszystkie domy na wyspie. Mieszkańcy Iża z ukontentowaniem przyjęli taką wiadomość i pochwiliłi czyn, jak każdą inną akcją dokonywaną przez ruch oporu.

Rankiem, odbywając regularny obchód wyspy, patrol karabinierów z Wielkiego Iża najpierw pospieszył sprawdzić czy wszystkie łodzie znajdują się na miejscu. Przy tej okazji karabinierzy mogli stwierdzić, że cała zatoczka Knež jest zaoliwiona... Czym prędzej podążyli do młynów. Ujrzawszy rozbite wrota, potłuczone zbiorniki i brak beczek z oliwą, rozświeczeni przystąpili do natychmiastowej kontratakacji. Ponieważ do przystani na Małym Iżu w każdej chwili wplynieć miał zapowiadany statek „Sofija” z żołnierzami na pokładzie, mającymi zabezpieczyć rekwizycję, ściągnięto posiłki karabinierów dla zamknięcia pierścienia wokół buntowniczej wioski.

Wszystkich mieszkańców kulakami wypędzono z domostw i gnano nad brzeg morza, do zatoczki Knež. Plac rozepanych dzieł na rękach matek, szepcące modłów starych kobiet, nie ulagodziły Włochów. Starych i młodych, zdrowych i chorych, nawet wójta, popędzono karabinami, na których polyskiwały bagnety. Wrzaski karabinierów, domagających się uwiązania sprawców, pozostawały bez żadnej odpowiedzi. Nikt „nie nie widział”, nikt „nie nie słyszał”... Na rozkaz komendanta karabinierów Seileria, wójt don Marijan otworzył księgę metrykalną i zalamującym się głosem zaczął wyczytywać kolejno wszystkie nazwiska mieszkańców wyspki. Młodzi ludzie, w wieku przeciętnie dwudziestu lat, odsyłani byli na stronę, do oddzielnej grupy. Około osiemdziesięciu wybranych osób, młodych ludzi, przeważnie mężczyzn, choć znalazło się też wśród nich kilka kobiet — popędzono na statek „Sofija”. Wszyscy mieli być odstawieni do Zadaru, gdzie mieściła się siedziba włoskiej policji politycznej.

26 lipca, o rodzinie jedenaścioro, „Sofija” odbiła od brzegów Małego Iża, wśród szalochu matek i gnających synów i córki, uprowadzonych przez okupanta. Lament zagłuszony został przez ryk syreny. Mały Iż pozostawał bez najlepszych chłopców i dziewcząt. Żołnierze również wleśli na statek, wzmacniając konwoj aresztantów. Na wypie nie mieli przecież już nic do roboty.

Połączenie na str. 12

Kamena str. 11

BOHATEROWIE ADRIATYKU

Dokończenie ze str. 11

Zbiegi w gromadę na dziobie statku, więźniowie — wyrobnicy, rybacy, marynarze bez pracy, dziewczęta — stali przed wycelowanymi w nich lufami karabinów, które, jeśli nie zapowiadały śmierci, to na pewno tortury, internowanie, niepodległość...

Słońce prażyło niełitościwie. Ludzie stłoczeni na dziobie pozbawieni byli kropli wody, nie śmieli się poruszyć, zamienić między sobą słowa. Tylko wzrokiem czytali wzajemne myśli...

Konwojenci nawet na sekundę nie spuszczyli oka z aresztantów. I właśnie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewali, rzucił się ku nim młodzieniec o kasztanowych włosach, który zakrzyknął ze wszystkich sił:

— Bijcie faszystów!

Włosi oniemieli z wrażeń. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co począć.

To Sime Lukin Babac dał sygnał do walki, grzmotnąwszy pięścią najbliższego stojącego karabiniera, który runął na pokład.

— Bijcie gadów!

— Bij! Zabij!

Włosi, nie rozumiejący języka słowiańskiego, wyczuli jednak, co im grozi. Rozległy się strzały. Rozpoczęła się walka. Lawiną ruszyli iżanie, z gołymi rękami, na uzbrojonych Włochów. Pokład zatrzęsł się od ich siły. Sime Lukin obecny był wszędzie. Twarde, spracowane dłonie wyspiarzy spadały na głowy przerażonych Włochów. W kilka minut później wszystko zostało zakończone. Rozprawiono się z karabinierami. Cztery leżeli na pokładzie, skamłając o litość. Dwóch wyskoczyło za burtę, salwując się ucieczką w nadziei, że dopłyną do lądu. Dosięgli ich kule ze zdobytej broni. Reszta poddała się bez oporu, widząc, że tylko w ten sposób zachowa głowy.

Sciągnięto flagę włoską z masztu i rzucono ją pod nogi.

— Zawracamy! — rzucił komendę Lukin i „Sofija” bez flagi, z jeńcami włoskimi, popłynęła do brzegów Małego Iza.

Nagle padł strzał. I zaraz po nim drugi. Jeden z wyspiarzy, Ljubo Lovrin, chwycił się za pierś i osunął na pokład. Obok niego zwałił się z nog ciężko ranny Ivo Lovrin, brat Ljuba. Nieoczekiwane strzały wywołały w pierwszej chwili zamieszanie wśród iżan. W zapale walki z karabinierami nikt nie liczył, ilu nieprzyjaciół obezwładniono. Okazało się, że jeden z Włochów ukrył się w ładowni, pod pokładem. Iżanie, upojeni zwycięstwem, nie pomyśleli

nawet o potrzebie skontrolowania wszystkich pomieszczeń na statku — od dziobu do rufy.

Po strzałach pokład statku zamienił się znowu w gniazdo rozdrażnionych os. Trzech iżan, nie namyślając się skoczyło do ładowni. Trzask i łomot, tupot nóg, uderzenia i krzyki... A później nastąpiła cisza. Po chwili wyrzucono na pokład ciało oficera włoskiego.

Warkot motoru „Sofiji” zbliżającej się do wyspy, znowu postawił na nogi wyspiarzy, którzy w pierwszej chwili zaczęli się kryć, podejrzewając że Włosi zawracają, by kontynuować dzieło zniszczenia i polować na ludzi. Kiedy jednak ujrzeli swoich, powiewających czapkami i uśmiechniętych, wokół których nie było widać zielonych koszul i kapeluszy z długimi piórami, cała wieś wyległa na brzeg. Zgromadzenie iżan przerodziło się w wiec, na którym zapadły dalsze postanowienia i plan działania. Należało przecieżyć spodziewać się, że Włosi nie puszcza buntu płazem, że zechcą wziąć odwet za kompromitującą porażkę.

Miejscowa organizacja partyjna zarządziła alarm dla wyspy i pogotowie bojowe. Przecięto połączenie telefoniczne i telegraficzne z Wielkim Iżem, siedzibą karabinierów. Rozprawiono się z kilkoma kolaborantami, by na wyspie pozostali sami swoi, ludzie godni zaufania. Tego samego dnia, wszyscy „spaleni” iżanie — 200 chłopców i 58 dziewcząt, pod wodzą Sime Lukina, zagarnawszy stojący w przystani statek rybacki „Napredak”, odpłynęli na wyspę Dugi Otok, gdzie mogli znaleźć bezpieczniejszą kryjówkę. Pozostali mieszkańcy Małego Iza, w obawie przed represjami ze strony okupanta, zbiegli łodziami na okoliczne wyspy, pozostawiając dorobek całego swego życia.

Następnego dnia władze włoskie dowiedziały się o wydarzeniach na Małym Iżu.

Z portu Zadar natychmiast wyruszyła na Mały Iż silna ekspedycja karna włoskiej soldateski, która wylądowała na wyspie 27 lipca. Żołnierze włoscy grabili wszystko, co wpadło im w ręce i przedstawiało jakąś wartość. Czego nie zdołali unieść — niszczyli, zabudowania puszczali z dymem. Mały Iż przestał istnieć.

W następnych dniach podjęto polowanie na mieszkańców Małego Iza, poszukując ich na wszystkich okolicznych wyspach. Na wyspie Rawie schwytano trzysta pięćdziesiąt trzy osoby, na innych wyspach — dalszych kilkadziesiąt osób. Do obozów koncentracyjnych odesłano trzysta sześćdziesiąt trzy osoby. Pozostałych poddano śledztwu. Po kilku dniach zwolniono jedynie ludzi najstarszych wiekiem. Śledztwu młodych iżan postawiono przed Sądem Wojen-

nym, który po parodii procesowej skazał wszystkich na karę śmierci przez rozstrzelanie. Byli to: Emil Bilan, Benjamin Bilan, Veko Bilan, Ciko Cvitanović, Vinko Skorlić i Mirko Vojvodović. Najstarszy z nich liczył dwadzieścia cztery lata.

W zachowanym raporcie z egzekucji młodych iżan, włoski dostojnik faszystowski napisał:

Skazani zachowywali się wyzywająco, z tupetem ludzi zdających sobie sprawę z popełnionego czynu i ciężaru winy. Przed rozstrzelaniem wznosili okrzyki: Niech żyje Tito! Niech żyje komunizm!

Młodzież, która zbiegła na Dugi Otok, nadal pozostawała nieuchwytna. Włoskie łodzie patrolowe i torpedowe dnem i nocą blokowały niemal wszystkie okoliczne wyspy. Poszukiwały zbiegów również samoloty zwiadowcze. Garnizony w Zadarze i Sibenu trwały w pogotowiu bojowym, by wyruszyć do natychmiastowej akcji przeciwko pozostałym iżanom. Silne oddziały „przeciwywały” wysepki na archipelagu Kornackim. Na szczycie wzgórza Gračina, na Dugim Otoku, przyczajeni iżanie bacznie obserwowali ruchy okrętów włoskich wokół wyspy. Gotowi byli, jeśli wróg trafi na ich ślad, podjąć bój na śmierć i życie. Do walki jednak nie doszło, gdyż Włosi po kilku dniach bezowocnych poszukiwań rozluźnili wreszcie nieco blokadę i zaczęli związać swoje oddziały, bardziej potrzebne na niespokojnym wybrzeżu.

Grupę ochotników do oddziałów partyzanckich niełatwo było jednak przetransportować na ląd. Należało bowiem mieć pewność, że blokada wysp została zniesiona, a przede wszystkim — nawiązać łączność ze sztabem partyzanckim.

Minęło czterdzieści dni zanim podjęto decyzję o przetrześciu iżan na wyspę Kornat, chociaż niebezpieczeństwo spotkania na morzu włoskich kutrów patrolowych nie przestawało istnieć. Włosi bowiem nieustannie patrolowali wody wzdłuż jugosłowiańskiego wybrzeża Adriatyku. Trzeba było jednak wreszcie podjąć ryzyko, zwłaszcza, że grupa pozostała bez żywności i leków, mając licznych chorych i rannych.

W nocy z 1 na 2 września wyruszyło z wyspy Dugi Otok dwanaście ludzi rybackich, wypełnionych młodymi iżanami. Na pierwszych trzech łodziach znajdowali się uzbrojeni ludzie. Mieli oni zadanie, w przypadku spotkania z okrętami włoskimi, ściągnąć na siebie nieprzyjaciela i podjąć z nim walkę na morzu, by umożliwić pozostałym towarzyszącom ucieczkę.

Tych dwanaście łodzi z młodymi iżanami, w sensie historycznym stanowiło pierwszy uzbrojony konwój partyzancki na wodach Adriatyku.

Do spotkania z wrogiem jednak nie doszło. Wszystkie łodzie dopłynęły do miejsca przeznaczenia. Iżanie wstąpili w szeregi 4-go batalionu 2-giej Brygady Dalmackiej. W bojach z nieprzyjacielem poległo siedemdziesięciu młodych iżan podczas krwawych zmagania na Sutjescie.

c.d.n.

Józef Krupiński

WYJDŹ NA SPOTKANIE

Słyszę cię
jak odchodzisz
dalej i dalej
aż do głębin
węgla.

Głos posyłam stropom
aby otworzyły bramę.

Wyjdź na spotkanie
i niech z tobą chodzę
pokładami władac
pod ziemią razem.

IMIONA

Twoim imieniem
ponazywałem drogi
którymi ze mną szłaś
na nocną zmianę.

Twoje imię
noszą wszystkie drzewa
węgiel
piaskowiec i morze.

Nieobecna
w stropach chodzisz
mi nad głową
i w spągu pod stopami
i żaden głos mój
nie może cię przywołać
z paproci umarłych.

JAK KONWALIA LASÓW

Mógłbym obudzić się
bez pieniędzy
i wśród biedaków.

Prostakiem — drwalem
mógłbym obudzić się
z błędami w pisaniu
na liściach i drewnie
i wśród czterech ścian
zamkniętego pokładu
węgla
ale z tobą
jak konwalia lasów.

JAK KARMICIELKA - KREW

Twoje oczy
patrzą na mnie
przez szkliwo węgli
w nocy.

Palce twoje i bosa stopy
wyraźnie odczytują
na ociosie wyosłrzonem.

Jak karmicielka — krew
jesteś we mnie
i nie ma ciebie
wokół czerni.

Kwiaty imienin zupełnie ostygły.

Klamki
wygasily ciepło
i zaniemówił telefon.

Węgiel gdyby mi znaków
o tobie udzielił
podczas chwili pękań.

Gdyby mi znaków
o tobie udzielił węgiel
gdy przechodzisz u góry często.

Przyjdź obudzić wymarłe rośliny.

ZŁAMANE DRZEWO

Chociaż ktoś inny
na jej skórze
maluje teraz
swoje pejzaże
znaki szczególnie
ze mnie są.

Chociaż ktoś inny
drzwi otwiera do niej
już kiedy chce
moje
metałem
palce chwycione.

Chociaż ktoś inny
przy wielkim ogniu
tańczy teraz z nią
w pękaniu drzewa
jestem ja.

Krzysztof Zuchora

kochany za szorstkość
nieokrzesany jak kamień
nienauczony
gładkości topora
i smukłości noża

jak odłam skalny
toczony w czułych dłoniach
krągły

gładki
krąglejszy
gładszy
podobny kuli
doskonalszej od wrzeciona

czemu się dziwisz
gdy umykam ci z ręką

MILCZENIE

milczenie
zmięta kartka papieru

zwarłe szeregi liter
ustępują pod naporem ręki

z tej walki zostanie horyzont
jak las zamiecią zgięty

i ręka złamana w przegubie
— znak zapytania

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Turysty częściej i coraz liczniej miast, nasze zwiedzanie zaczyna się, a to dzięki kolei nadwiślańskiej, która przywozi nam ich z syreniego grodu. W niedzielę zauważyliśmy liczniejsze grono warszawiaków zwiedzających nasze świątynie, a jeden z grona turystów oświadczył nam, że ze wszystkich miast prowincjonalnych Lublin przedstawia się najpiękniej, bo będąc bardzo ożywionym ma pozór miasta stołecznego. Wyrażenie to jest nader pochlebne, choć może nie zupełnie zgodne z rzeczywistością, bo Lublin mimo pozoru wielkomiejskiego jest jeszcze głęboko prowincją pod wielu, a wielu względami!

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

● Dziś nad Lublinem o godzinie 12-tej przeleci aeroplan, który na Placu Litewskim rzuci pięć bomb gazowych. Koło poezji zorganizowane będzie ambulatorium, w którym siostry Czerwonego Krzyża udzielać będą pomocy zagrożonym żołnierzom. Mieszkańcy Krakowskiego Przedmieścia w pobliżu Pl. Litewskiego proszeni są o otworzenie okien, aby siostry nie ucierpiały na wskutek wzbudzonego dymu. Dzisiejszy ten pokaz wojny gazowej, urządzone staraniem Zarządu Okręgu Lubelskiego Polskiego Czerwonego Krzyża ma na celu zademonstrowanie całemu społeczeństwu niebezpieczeństwa, na jakie narazona byłaby ludność naszego miasta w razie nalotu na Lublin nieprzyjacielskich aeroplanów z bombami.

● Z nastaniem lata ulice naszego grodu rolę się od nedorostków, z zamalowaniem uprawiających sport kolarski. Zasadniczo nie można mieć nie przeciw temu, jednakże zapaleniu ci rowerzyści absolutnie nie robią sobie z publiczności i przepisów policyjnych, rozbijając się po chodnikach i mieścach przeznaczonych dla pieszych. Obowiązkiem policji jest orzec młodocianych rowerzystów ukarać bezwzględnie.

„Głos Lubelski”

● Dyrekcja lubelskiej sieci telefonicznej miast, troszcąc się o coraz sprawne i efektywne funkcjonowanie telefonów (oraz wobec powolnego wzrostu sieci telefonicznej) w roku bieżącym przystosuje do rozszerzenia sieci oraz do jej ulepszenia. Ulepszenie sieci w kierunku zwiększenia szpów na powierzchni oraz przeprowadzenie połączeń podziemnych w rejonie ulic Narutowicza do rogu Szarena, Zamojska do rogu Fabrycznej, Bychawska pod tunelem do rogu Czerniewojskiej. W rejonie tunelu był kabel powieszony, co w dużym stopniu kłopotowało rozwój sieci kolejowej. Poza tym w centrum miasta w ciągu lata zostaną założone nowe maistralne kable, które połączą bezpośrednio centralę telefoniczną przy ul. Staszica z najruchliwszymi ulicami miasta.

„Ziemia Lubelska”

Wybrała: Anna Orzechowska

WOLNA TRYBUNA

CZY można w jednym numerze miesięcznika obrazić, a momentami zniechęcić spory szmat literatury polskiej? Otóż można. Zadanie trudne, ale wystarczająco chcieć. Bardzo chcieć.

Miesięcznik „Poezja” chce. Chce tak bardzo, że aż załczył. Z majowego numeru powstało nietolerancją, tendencją, brylantyną, ciemnogrodem; pod pretekstem numeru poświęconego pamfletowi, metodyczną rozprawą z grupą nazwisk, których deprecjowanie układa się w paskudną prawidłowość.

Tak paskudną, że nie sposób publicznie nazwać jej po imieniu.

Grupę harcówników tworzą: Lam, Topp, Stiller, Isakiewicz, Zieniewicz, Tynecki. Andrzej Lam używa swojego nazwiska na zasadzie „Zamiast

łask się wiecego czasu Broniewski i wielu, wielu gigantów.

Jest niedopuszczalnym nieaktym, w tym również politycznym i obywatelskim i anachronizmem krytyczno-literackim traktowanie apoteozy tamtej zgrzebnej, pełnej błędów, lecz heroicznej rzeczywistości w kategoriach kolaboracji!

W następnej kolejności Ludwika Topp rozprawia się z krytykami i recenzentami, którzy „wylansowali” Szymborska; w ten sposób pozostawiając wokół niej strzęp spalonej ziemi i atmosferę totalnej pomyłki w percepcji jej twórczości.

„Gdyby Szymborska nie została wylansowana przez sprzedajnych i tendencyjnych krytyków, nie weszłaby na Parnas”. Przykładem zupełnej beztroski recenzentki,

„POEZJA” WALCZĄCA

Henryk Pająk

wstępu”. W dwustronowej publikacji „Ryzyko pamfletu” poucza, że pamflet jest to cudowna forma, w której wszystkie chwytły są dozwolone, niedozwolone jest natomiast obrażanie się na niedozwolone.

Z tym błogosławieństwem rusza do ataku Jerzy Tynecki. Znamienne, iż na pierwsze danie idzie Kazimierz Wyka, krytyk, historyk literatury, postać dość bliska kilku pokoleniom inteligencji polonistycznej. Tej, która z kolei kształci inteligencję nie tyle polonistyczną, co w ogóle humanistyczną.

Przykład deprecjacji totalnej: od szyderstwa z wypowiedzi Nauczyciela o jego rzekomych wstawianiu do pisanie o piętę rano, po całkowitą wtórność myśli krytycznej. „W jego pracy doktorskiej o modernizmie (...) nie ma ani jednej antypozytywistycznej tezy, której nie postawiłby wcześniej Artur Górski, Wincenty Lutosławski, Miriam, Antoni Potocki czy Lange”.

A teraz trzeba ściągnąć z piedestału poetów. Wistawie Szymborską podjęła się „załatwić” pani Ludwika Topp. Jakim prawem Szymborska zadomowiła się w literaturze, ba, w wypisach szkolnych, skoro już w 1948 roku, będąc z pokolenia „pryszczatych”, wdała się z pochwaleń socjalizmu, tematu pracy, słowem wystartowała z realizmu socjalistycznego? Pani Topp ustawiła ten okres poetki na najczarniejszej liście niegodnych czynów, z piekielną satysfakcją odkurzając wiersze o pracy, o Planie Sześcioletnim; nie baczac, iż dawno już krytycy i historycy literatury ogłosili amnestię za te „przestępstwa”, bo przecież wśród oskarżonych zna-

która tym razem nie tyle wycinka z wyrachowania, ile z nieznaności przedmiotu i ogólnej samowoli recenzenta, jest artykuł Wiesława Rustecznego o „Wołaniu do Yeti”.

A zatem: wszystko, co nie daje się podporządkować tezie o miakkości tej poezji, staje się dla Ludwika Topp przejawem „nieznajomości przedmiotu i samowoli”. Sadu o przyjętej przez siebie metodzie krytycznej — pani Topp oczywiście nie wydaje. Jest to przecież metoda jedynie słusza, prawdziwa, a nade wszystko uczciwa.

„Bunt pozornie zaangażowany” — to tytuł inkwizycji Isakiewicza nad twórczością Urszuli Kozioł. Pseudoniepokoje, tandetny uniwersalizm wyliczanki, pozory buntu i głębi, modna bezpośredniość, modna tematyka (napalm, zagrożenie atomowe, Wietnam, terrorizm) — oto istota tej poezji i jej zdumiewającego awansu. Co do krytyki, to sytuacja Kozioł jest odmienna od sytuacji Szymborskiej. Urszula Kozioł straciła wszystko, gdyż nie posłuchała się krytyki, to znaczy Jerzego Kuciakowskiego, który doradzał badanie konfliktów o charakterze głęboko dramatycznym. „Niestety — stwierdza z żalem Isakiewicz — poetka wolała zaangażować się w sprawę bezpośrednio ją dotyczącą. Czy to źle? Ależ nie, tylko przyjąć trzeba, że to co teraz jest jest przemijające”.

Czyli i tak źle i tak niedobrze. Gdy zaangażowała się w tematykę nieteraźniejszą, odważną, uniwersalną, zrobiła to z „pozornym zaangażowaniem”. Gdy zwróciła się do spraw bezpośrednio ją dotyczących, popeliła grzech jeszcze cięższy, bo przecież teraz jest przemija. W re-

zultacie grzechem grzechów Urszula Kozioł jest fakt, iż w ogóle chwyciła za pióro.

W tej bezpardonowej wolnoamerykanie, której ringiem stały się sironice „Poezji”, najlepszym „technikiem” okazał się Robert Stiller, który rozprawką „Polszczyzna pogwałcona u Grochowiaka” dostojnie rozniósł tego poetę. Zbrojny w pancerz analityka pochyla się nad składnią, szykiem i słownictwem Grochowiaka, bezlitośnie punktuje dyktando, opisy erudycyjne, brak językowego sluchu, brak pracy, niezdarne wymyślanie nowych spójników, a głównie zaś traktowanie języka i składni polskiej z „niszczycielską obojętnością”. Nigdy jeszcze osobowość twórcy Grochowiaka nie była wystawiona na tak zajadła negację, jego polszczyzna nie nazwana „niechlujną” gdzie „to się od nadzwyczajnych i najgrubszych błędów”. Słowem, niedoczony kmiotek dorwał się do świątyni języka i na jej ruinach stworzył własny gmach. Nikt przed Stillerem nie poznał się na profanacji. Grochowiaka trzeba przelożyć na polski, poprawić jego wypracowanie na temat poezji, inaczej won z literatury! Stiller kategorycznie domaga się, aby wszczęto dochodzenie „skąd się wzięła popularność tej poezji i przyznawana jej wysoka ranga”.

I wreszcie Andrzej Zieniewicz kontra Białoszewski. Białoszewski jest pusty. „nie niesie żadnych przesłań poznawczych, ideowych, moralistycznych. Czytając go jako składankę zabawnych fragmentów, nikt jednak nie jest na tyle odważny, żeby powiedzieć to głośno”.

Tego niewdzięcznego zadania podjął się właśnie A. Zieniewicz. W pierwszej kolejności rozprawił się z hagiografią Białoszewskiego, sztyjąc z „maszyną interpretacyjną jego egzegetów”, a co do meritum sprawy stwierdzając twardo, iż casus Białoszewskiego to „gra w nieporadność, potem w bylejaką, teraz gra w całościowość [...] z morfenem, potem intonacją, teraz z sytuacją”.

Majowy numer „Poezji” poświęcony jest pamfletowi. Osobiście uważam, iż poważnym niedopatrzaniem redakcji jest brak pamfletu o Czechowiczu i Przybosiu, kłama bawiem jeszcze bardziej przejrzyście spięłaby intencję.

Ale pamflet ma swoje przeciwieństwo w panegiryku. Proponuję numer „Poezji” poświęcony egzemplifikacji pamfletu na przykładach, bo ja wiem — może Leśmiana, Herberta, Jastruna, Staffa, Tuwima, Słonimskiego, Sandauera...

OD REDAKCJI: Tekst Henryka Pająka celowo zamieszczamy w rubryce pt. Wolna trybuna, ponieważ uważamy, że pamflet rzadzi się swoimi prawami — jednego może razić, innych zaś bawić. Jest jednak faktem bezspornym, że prawdziwa cnota zawsze obroni się sama! Niemniej byłibyśmy рады, gdyby na ten temat zabrali głos czytelnicy naszego pisma.

WARTYKULE „W obronie herbu miasta Łosic” (Łosice 1264—1966. Praca zbiorowa pod red. J. Kazimierskiego. Warszawa 1969, s. 23—34) Józef Rumik udowodnił, że prawdziwym herbem tego miasta jest przedstawiony na tarczy renesansowej wizerunek konia biegnącego z podniesioną przednią prawą nogą. Autor wskazał przy tym na dwa inne wzory herbów, rozpowszechnione przez wydawnictwa książkowe i pocztówkowe jako herby Łosic: 1. Dwa lwy stojące na tylnych łapach ze złożonymi przednimi łapami. 2. Łasica biegnąca.

Wyjaśnienia co do herbu z lwami tutaj pominiemy, ponieważ znajdują się one we wspomnianym artykule, do którego odsyłam zainteresowanych, poza tym nie dotyczy bezpośrednio tematu niniejszej notatki.

Kontrowersje budził od dawna wizerunek herbu z łasicą, który — jak pisze J. Rumik — „nie ma pokrycia w żadnym dokumencie, lecz został niebacznie umieszczony w wydawnictwie Arkad — Herby Miast Polskich z 1930 r. i widnieje na 228 stronie tegoż wydawnictwa. Wystarczyło prawdopodobnie fonetyczne brzmienie: Łosice — łasica. Twierdzenie bowiem, że na pieczęciach miejskich z XVII i XVIII w figuruje łasica nie jest prawdą, na pieczęciach tych wyraźnie figuruje koń”. Za Arkadami bezkrytycznie podają herb z łasicą inne wydawnictwa, nawet naukowe (Miasta polskie w Tysiącleciu pod red.

St. Pazyry, t. II, Wrocław 1937; „Notatki Płockie” 1937, nr 2/42). O tym herbie wspomnieli jeszcze wcześniej prof. M. Gumowski w książce *Pieczczęcie i herby miejscowości województwa lubelskiego*, Lublin 1939, s. 8. Znajdujemy tu poza tym uwagę, że herbów tzw. mówiących (skojarzonych z nazwą miejscowości), jest niewiele. Już to przemawia przeciwko połączeniu łasicy z Łosicami, podobnie jak i różne samogłoski w la- i Lo-. Ponieważ najpewniejszym źródłem wiadomości o herbach są dawne pieczęcie, a „Sigillum Civitatis Losicensis” (które renesansowy kształt zdaje się wskazywać na XVI-wieczne pochodzenie) wyraźnie przedstawia biegnącego konia, a nie łasicę, herbem Łosic był i pozostaje koń. Dla ścisłości dodać można, że oryginalna pieczęć miejska Łosic znajduje się obecnie w rękopisach zbiorach Józefa Rumika. Motywacją tego herbu stanowi wg auto-

ra cytowanego artykułu istnienie stadniny koni w dobrach królewskich oraz „jarmarki i targi na konie, urządzane regularnie w Łosicach od XVI w. aż do czasów nam współczesnych”.

Powyższe wyjaśnienie jest najbardziej prawdopodobne. Można się też zastanawiać, czy sama nazwa Łosice nie jest związana z wyrazami łosze, łoszak (z ukr. *loś, lośak*) oznaczającymi „źrebie”, czy to bezpośrednio, czy pośrednio przez nazwę osobową (Łosze, łosz lub podobna). Trzeba by wówczas przyjąć pierwotne brzmienie nazwy miejscowości Łoszyce, co by potwierdziły spotykane w XVI w. zapisy *Łoszcz(e)*. Hipoteza ta wymaga jednak dokładnego zbadania.

Wzór herbu Łosic z biegnącym koniem jest dzisiaj powszechnie przyjęty, zamieszczają go np. encyklopedia (WSP PWN, t. 7, Warszawa 1969; EP PWN, t. 2, Warszawa 1974, s. 709), Egzemplifikacja

się nim Łosice przez ustawienie tego herbu na granicy miasta i gminy.

Tymczasem w kilka lat po rozstrzygnięciu kwestii herbu Łosic Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” wydała w nakładzie 20 tys. egz. bardzo pomyslową wiodkawkę „Łosice i okolice”, opatrując ją — niestety — błędnym wizerunkiem herbu z łasicą. Pocztówka zawiera mapkę, zdjęcia: Łosice — Dom Kultury, Sar naki — zajazd, Fronołów — ośrodek wypoczynkowy, oraz krótki — lecz niestereotypowy — tekst, informujący o historii i walfach turystycznych nadwiślańskiego Podlasia. Tak oryginalna popularyzacja tego interesującego zakątka kraju godna jest pochwały, jednakże powinno się w większym stopniu uwzględnić literaturę heraldyczną (jak w tym przypadku) i obracowania naukowe chociażby typu encyklopedycznego.

Adresuję tę notatkę do wszystkich zainteresowanych Podlasiem i jego historią, aby błąd popełniony przez jedną osobę — jak pisał J. Rumik — nie był powtarzany w dobrej wierze przez następną.

Zygmunt Galecki

KRONIKA KULTURALNA

● Polskie malarstwo historyczne XIX wieku udostępniło publiczności w Oddziale Historycznym (Brama Krakowska) Muzeum Okręgowego w Lublinie, wykorzystując do tego celu zbiory własne i Muzeum Narodowego w Warszawie. Wystawa to fragment swolitej „biblii Polaków” kocha młotem i początków bieżącego stulecia, mającej przedzielić swych liczących czytelników i dalszą. Nie widziemy powiad, któryby zwałniał z obowiązku objawienia tych dzieł, autorzyżowanych m. in. przez Maksymiliana Głuchowskiego, Jana Malejkę, Piotra Michałowskiego.

● Koniec roku szkolnego Państw. Liceum Sztuk Plastycznych im. C. K. Norwida w Lublinie zaakcentowało zgodnie z tradycją pokazem uczelnianym, pokazem uczelnianym, projektem przedmiotów użytkowych, a nawet modelem galerii malarstwa, podobny przeszerzenie do obiektów ekspozycyjnych w Białymostku, przy ul. Dąbrowskiego — na co wskazujemy przy tzw. okładzi. Również przy okazji chcemy przypomnieć, że lubelska szkoła wywodzi się z placówki działającej w okresie międzywojennym i noszącej całkiem dobre imię: Ludwik Melchiorowej.

● Czerwony program Zamajskiego Lata Teatralnego zamknęły „Damy i huzary” lubelskiej sceny im. J. Osterwy. W lipcu kolejne przedstawienia w ramach tego ciekawego przedsięwzięcia, poświęcającego niezwykły format amfiteatrów kulturalnych młodego województwa, które racjonalnie — jak można sądzić — sposobi się do obchodów 400-lecia swojego głównego miasta.

● Dobra rzecz narodziła się w Lublinie: „Forum Teatru” czyli seria comiesięcznych spotkań dyskusyjnych z udziałem

członków animatorów i komentatorów tej dziedzinie sztuki, którym towarzyszą pażyteczne dodatki nadzwyczajne w rodzaju np. filmów ze spektakli. W pierwszym spotkaniu wzięli udział: Krzysztof Jasiński, dyrektor Teatru STU z Krakowa (talia warszawskich ZPR), Zbigniew Cynkulis z wrocławskiego „Laboratorium”, doc. dr Włodzisław Pawluczuk i dr Zbigniew Osinski. Najbardziej przypadło nam do przekonania wyznania K. Jasińskiego, zresztą lublinianina rodem, który stwierdził, że aktor i widz to jednak dwie odrębne osobowości, a podział na scenę i widownię jest czymś naturalnym w teatrze. Wspomniane dodatki również były pierwszorzędne: zobaczyliśmy na ekranie LDK „Akropolis”, „Próbę wspólnoty” (o Teatrze STU) oraz „Umarłą klasę” T. Kantora w obiektywie A. Wajdy. Wymienimy zatem organizatorów imprezy: ZW ZSMP, LDK, UMCS, RSW PUPK, TWP oraz Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice” — Ośrodek Realizacji i Badań Praktyki Teatralnych, któremu przewodzą (sprawnie) Włodzisław Stanisławski — dawniej u Jasińskiego i Groszowskiego.

● Zbliża się III Ogólnopolski Festiwal Młodych Skrzypków w Lublinie — patronat objął wicepremier Józef Tejcma — a już mówi się o uruchomieniu w mieście Międzynarodowego Konkursu Młodych Skrzypków (1979). Pracownicy i efektywnie kończy więcej 80 rok działalności Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego. Instytucja wyjątkowo zasłużona dla kultury muzycznej regionu, ale także — kraju. Biografie jubilatów przedstawiemy w stosownej chwili.

● W czerwcu w sali studenckiej rozleśni Polskiego Radia w Lublinie odbył się koncert symfoniczny znakomitej orkiestry z Dortmundu, prowadzonej przez Marka Ja-

nowskiego. W roli solisty wystąpił skrzypek Ulf Hoesschen, którego w recenzjach określano jako „gwiazdę wieczoru”, jako „natchnionego, fascynującego”. Nie przystając na frazeologię, zgodzamy się co do meritum oceny.

● Od 29 czerwca do 2 lipca odbył się w Kazimierzu Dolnym XII Ogólnopolski Festiwal Kapel i Sptewaków Ludowych, przyczynił się różnorodnymi imprezami, jak np. targi sztuki ludowej, w których wzięło udział ponad 80 malarzy, rzeźbiarzy, garncarzy, kowali, tkaczy, snycerzy.

● Nieco wcześniej w Zamostcu (od 23 czerwca) odbyły się Dni Folkloru Zamajszczyzny, podczas których także tańczyli i śpiewali zespoły folklorystyczne, odbywały się wystawy i targi sztuki ludowej. Trzecia z kolei impreza cieszyła się znacznym zainteresowaniem publiczności. A zatem: trwa hossa na twórczość ludową, czy też stylizowaną na ludowość.

● Barokowy pałac w Serebryszczy od lat popadał w ruinę, co normalnie w przypadku obiektu leżącego „gdzieś daleko” (w woj. chełmskim) i użytkowanego przez Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną. A teraz szybko wraca do zdrowia — dzięki tejże samej Spółdzielni, która remontuje budowlę pod fachowym okiem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, mgr. Leszka Samochódzkiego. Gratulujemy rozwiązania sprawy i oczekujemy podobnych informacji z innych miejscowości, np. z tych, których zabytkowe fragmenty utrwalił w rysunku Raymond Urbanowicz, autor wystawy „Śladem zapomnianych zabytków Lubelszczyzny”, czynnej w czerwcu w Klubie MPK przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Należy nam się sytuacja woj. bydgoskiego, gdzie PGR-y okazały się faktycznymi mecenasami zabytków.

A. K.



„Godziny nadziei” - w Łagowie

● PAMIĘTACIE pierwszą sekwencję filmu „Godziny nadziei”? Nad pierwszą połowę się terkot „kukurużnika”, ciągnie się po ziemi ciężki dwupłatowy samolot wykonujący swoje zadanie bojowe. Potem jest ciężka montażowa, kamera przenosi się na miejsce pasażera maszyny i oto nagle, ze skrajną, jawi się przed nami panorama miasteczka przysiadłego wśród rozległych lasów, na wąskim przesmyku między dwoma jeziorami. Nad miasteczkiem góruje masyw zamku z potężną basztą, na podgroźniu kłębi się różnorodny — i jak się wkrótce okaże — różnorodny tłum ludzi... To miasteczko Lyx, którego polskie załogi przyjdzie się zmierzyć w ostatnich godzinach II wojny światowej, z siłami pancernymi niemieckiej dywizji chcącej utworać sobie drogę do Berlina.

Kiedy dzisiaj wspomniemy wychodzi z ostatniego zakreślenia szosy przed lubuskim Łagowem, który przed dwudziestą pięciu laty posłużył Janowi Rybkowskiemu za miejsce akcji „Godzin nadziei”, wydaje się jakby człowiek oglądał pierwsze sceny z tamtego filmu, może tylko z nieco innej perspektywy. Z lewej strony błyska błękitna tafła jeziora, z prawej czerwieni się wśród rozszalałych dzikich brzoń wysoki, podobny do rzymskiego akweduktu, wiadukt kolejowy, z którego filmowi SS-mani ryglowali ogniem ciekawą drogę do miasteczka. Wreszcie, po przejechaniu przez zabytkową Bramę Polską, wpada się w sam środek gwarnej, wesołego tłumy. Ale teraz jest to tłum uczestników Lubuskiego Lata Filmowego, jednej z najciekawszych i najsympatyczniejszych filmowych festiwalowych imprez w Polsce, grupującej reżyserów i aktorów, krytyków filmowych i działaczy społeczno-dyskusyjnego ruchu filmowego. A także wszystkich innych profesjonalnych i nieprofesjonalnych entuzjastów polskiego kina. Tak się dzieje każdego miesiąca czerwca, od dziesięciu lat.

Lubuskie Lato Filmowe to nie tylko przegląd filmów ostatniego sezonu pretendujących do szeregu nagród, to również — a może nawet przede wszystkim — impreza seminariowo-dyskusyjna, której główny ton nadają obrady Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Klubu Krytyki Filmowej SDP. W tym roku „Lagów-78” przebiegał pod hasłem: „Przemiany reżyserskie w Polsce i ich związek z rozwojem kultury”.

W amfiteatrze u stóp zamku odbywały się, jak zwykle, pokazy konkursowe; w niedalekim kinie „Switez” sala każdego dnia — retrospekcja polskiego kina powojennego. Od „Zakazanych piosenek” Leonarda Buczkowskiego po „Blizna” Krzysztofa Kieślowskiego i „Milionera” Sławostwa Szyska. Od filmów grupowanych w zestawie „Nowe problemy i dawne zasady” poprzez „Lekcję neorealizmu” i „Dwa lata szkoły polskiej” do „W stronę autorstwa”, „Drugiej generacji autorów” i filmów, które determinuje „Inspiracja dokumentalna”.

Z jakimś szczególnym wzruszeniem siedziałem na projekcji „Godzin nadziei”. Nie tylko ze względu na to, że akcja toczy się w prawie niezmiennych miejscach, na ulicach i placach miasteczka, gdzie przed chwilą stapało się wódek ludzi, z których większość nie pamięta już wojny dziejącej się na ekranie... Baszta, skąd dzielny porucznik Stanisław Mikulski razil Niemców ogniem ciekawym. Zakret ulicy — miejsce barykady, gdzie przycupnął z „diabliarzem” bohaterajd sierżant — zupak granat przez jakże młodego Kazimierza Wichniarza. Wejście do zamku, gdzie wojskowy fryzjer Szczepan — Bronisław Pawlik — podał „Tygrysa” butelką chirurgicznego spirytusu. Wreszcie — ryneczek, na który w pewnym momencie wjechał dziwaczny kondukt na czele z zespołem jazzowym „Melomani” uosobionym na amerykańskich żołnierzy.

„Godziny nadziei” były przegoda filmową pokolenia dziesiętnego czterdziestoparolatków. Nie tylko ze względu na stronę formalną. Widoczne tutaj wyraźne wpływy włoskiego neorealizmu (z wielkim zresztą opóźnieniem przybyłego do Polski), ocenialiśmy już rok wcześniej, w 1954 r., oglądając filmy Wajdy („Pokolenie”) czy Kawalerowicza („Celuloza”, „Pod gwiazdą frygijską”). W filmie Rybkowskiego — mimo jego wojennego tematu — znalazły także odbicie sprawy obyczajowości, przekonań, mody, upodobań artystycznych, sposobu bycia i stylu życia młodzieży z połowy lat pięćdziesiątych. To wszystko, co wkrótce wyklarowało się wokół „Bim-Bomu”, „STS-u”, „Baranów” czy „Kalamur”. Swolitego stylu przydała „Godzinom nadziei” ówczesna młodzież: studenci trzech polskich szkół teatralnych, młodzi plastycy i muzycy-jazzmani grający i statystujący w tym filmie...

Tegorocznymi zdobywcami „Złotych Gran” Lubuskiego Lata Filmowego — przyznawanych przez jury Stowarzyszenia Filmowców Polskich zostali: Feliks Falk („Wodziej”), Krzysztof Kieślowski („Blizna”), Grzegorz Królikiewicz („Na wyloc”), Klub Krytyki Filmowej przyznał „Syrenkę Warszawską” filmowi Jerzego Kawalerowicza — „Smierć prezidenta”. Nagroda ZSMP i Zakładów „Dorazni” przypadła filmowi Mieczysława Wałkowskiego — „Nie zamazaj spokoju”. „Złote Grono” KRAKS-u za najlepszy film studyjny przyznano „Solali” Krzysztofa Zanussiego, a nagrodę: „Don Kichot” — (Polskiej Federacji DKF-ów) otrzymał film „Wodziej” i jego twórcy: Feliks Falk, Edward Kosłowski i Jerzy Stuhr.

Mirosław Derecki

Nowe powieści Anny Seghers

● NA rynku księgarskim w NRD ukazały się nowe utwory prozatorskie autorki „Ślód-mego krzyża”, które jak wszystkie dzieła Anny Seghers, spotkały się z dużym zainteresowaniem czytelników. Pierwszą z nowych powieści „Epoka kamienna” to ponure dzieło kariery życiowej Amerykanki imieniem Gary, który drogą przestępczych machinacji uciułał sobie niezły majątek. Sztukę mordowania ludzi i grabieży posiadał w czasie wojny wietnamskiej jako żołnierz armii, która napadła na spokojny naród, ażeby z pomocą współczesnych osiągnąć techniki cofnąć go do epoki kamiennej. Ale czasy eskalacji wietnamskiej należą już do przeszłości i Gary — jej produkt — jest dziś traktowany jako zwykły bandyta. W nieustannej obronie przed aresztowaniem Gary przenosi

się z miejsca na miejsce. Zanim osądzi go prawo skazany jest na samotność i beznadziejne rozpamiętywanie swych wojennych „sukcesów”. Bohaterami drugiej nowo wydanej powieści A. Seghers — „Do następnego spotkania”, są Selia i Alfonso — para hiszpańskich komunistów. Frankistowska dyktatura zmusza Selię do opuszczenia ojczyzny i wyjazdu do Meksyku. Jej mąż na polecenie partii prowadzi podziemną działalność w Hiszpanii. Alfonso należy do grona tych, którzy walczą przeciwko faszystom nawet wówczas, gdy wielu innych z walki tej rezygnuje. Wysłany przez towarzyszy do Meksyku, spotyka się z Selią, ale wkrótce musi powrócić do kraju. Po zakończeniu drugiej wojny światowej Selia wraca także do Hiszpanii, aby włączyć się w nurt walki rewolucyjnej, co nie oznacza jed-

nak, że małżonkowie mogą być ze sobą razem. Wyklucza to strategia konspiracji. Wykonując swe nielata zadania myślą o sobie bezustannie i wierzą, że nadejdzie czas, kiedy skończy się ich rozłąka.

Wreszcie nadchodzi upragnione spotkanie, lecz w jakże straszliwych okolicznościach. Selia otrzymuje pozwolenie na odwiedzenie męża, który pobity i zmaltretowany przebywa we frankistowskim więzieniu. Czy spotkają się jeszcze kiedyś — nie wiemy. Wiadomo tylko na pewno, że nie nie potrafił zniszczyć ich miłości, ani wielkiej idei, której poświęcili swe życie.

Obie powieści Anny Seghers, odznaczające się wartką, pełną napięcia akcją, zmuszają czytelnika do głębokich przemyśleń i analizy własnych postaw życiowych.

Polonica

● W Budapeszcie otwarto dwie wystawy poświęcone polskiej kulturze. Beletrytykę i

wydawnictwa artystyczne, a także wydane w Polsce dzieła klasyków literatury światowej zgromadzone na wystawie książki polskiej. Ponadto organ Związku Pisarzy Węgierskich „Nagyvilág” opubliko-

wał „Emigrantów” Mrózka, 100 prac znalazło się na wystawie exlibrisów Wojciecha Jakubowskiego.

● W Berlińskim Pałacu Republiki odbyła się impreza pn. „Portret Pendereckiego”. W programie imprezy wykonane zostały przez Kwartet Wilanowski utwory kompozytora, który też mówił o swej pracy. Krzysztof Penderecki poprowadził również dwa koncerty kompozytorskie na I Między-

narodowym Festiwalu Muzycznym w Dreźnie.

● Nakładem rumuńskiego wydawnictwa „Minerva”, ukazał się w serii „Biblioteka dla wszystkich” tom „Wierzy wybranych” Adama Mickiewicza. Wyboru dokonał Nicolae Mares, który jest zarazem autorem przekładu części utworów. „Wiersze wybrane” Mickiewicza wydano w wysokim nakładzie 15 tys. egzemplarzy.

● Dużym zainteresowaniem mieszkańców stolicy NRD cieszą się imprezy organizowane przez Polską Ośrodek Kultury i Informacji w Berlinie. Np. ostatnio „Teatr esperanto” z Warszawy przedstawił tam sztukę Aleksandra Scibor-Rybskiego „Bliski nieznajomy” i „Hipnoz”. Autorem Cwojdzńskiego, odwołano też zrealizowane w wersji niemieckiej słuchowisko Jerzego Janickiego „Hasło”.



KLAPK MALUCHA

Sprawy się komplikują

OBECNIE parę słów o tak zwanym oprzyrządowaniu silnika w naszym „maluchu”. Silnik chłodzony jest powietrzem, którego temperaturę reguluje termostat, zamocowany do górnej ścianki prawej osłony silnika. Przy zimnym silniku klapka termostatu powinna być zamknięta, przy gorącym otwarta całkowicie. Należy to bezwzględnie sprawdzić, albowiem wadliwe działanie termostatu może doprowadzić do uszkodzenia silnika. Naprawa termostatu wymaga jego wymontowania i powinna być powierzona autoryzowanej stacji obsługi.

Najwięcej jednakże kłopotów może sprawić układ zasilania, składający się z filtra powietrza, gaźnika, pompy i zbiornika paliwa. Najprostsza jest obsługa filtra powietrza, którego wkład wymieniamy przynajmniej co 10 tysięcy kilometrów. Przy eksploatacji samochodu po drogach terenowych o dużym zapoaleniu wymieniamy wkład znacznie częściej — co 5 tysięcy kilometrów. Celowe jest również przedmuchiwanie wkładu sprężonym powietrzem. Zanieczyszczony filtr powoduje znaczne zużycie paliwa, a czasem także spadek mocy silnika.

Gaźnik naszego „malucha”, typu Weber 28 JM B1, to bodaj najbardziej skomplikowana część osprzętu silnika, dlatego nie radziłbym w tym przypadku dokonywać jakichkolwiek napraw w warunkach podwózkowych. Jedyną w zasadzie czynnością, którą możemy sami wykonać, jest regulacja obrotów biegu jałowego; powinniśmy ją przeprowadzać co 10 tysięcy kilometrów oraz po każdym demontażu i myciu gaźnika.

W celu regulacji obrotów biegu jałowego należy:

- ustalić wkretem otwarcia przepustnicy najmniejsze obroty równomiernej pracy silnika, przy których silnik nie gaśnie;
- wkretem regulacji składu mieszanki zwiększyć obroty silnika, tak by jego praca była równomierna;
- wkretem otwarcia przepustnicy zmniejszyć nieco obroty, tak by silnik pracował równomiernie, a przy gwałtownym dodaniu gazu nie gasł.

Jeśli silnik samochodu ma tendencję do gaśnięcia lub nieregularnej pracy, wówczas przyczyna może leżeć w uszkodzeniu pompy paliwa, umieszczonej z lewej strony kadłuba silnika. Przed wszystkim musimy sprawdzić, czy pompa jest należycie dokrecona dwoma śrubami mocującymi ją do kadłuba, a także zbadać siłę skrećcia kilku śrub mocujących obie części pompy.

Gdy już zdecydujemy się na demontaż pompy paliwa (czynność nie taka trudna, jeśli uważnie przeczytamy instrukcję obsługi samochodu), to przede wszystkim należy zwrócić uwagę, czy nie są uszkodzone zawórki lub tuleje odkształcone srożony zawórków. W każdym przypadku należy dokonać wymiany i to raczej całej pompy, ponieważ poręczystych detali w sklepach się nie dostanie.

Podstawowa zasada prawidłowej eksploatacji zbiornika paliwa jest stałe utrzymanie poziomu benzyny w zbiorniku. W praktyce wygląda to tak, że uzmielniamy stan paliwa zawsze, gdy wskaźnik pokazuje na pełnię. Jest to permanentna „nareszta” (tęsi) się czerwona lampka nadaje, szczególnie zimą, że na benzynach zbiornika skrapla się woda, która następnie może dostać się do gaźnika, powodując przemywanie w pracy silnika zimą zaś zamaryzowanie przewodów nasilających i niepożądane uruchomienia samochodu.

Inż. Krzysztof B.

KRZYŻÓWKA

(nr 14)

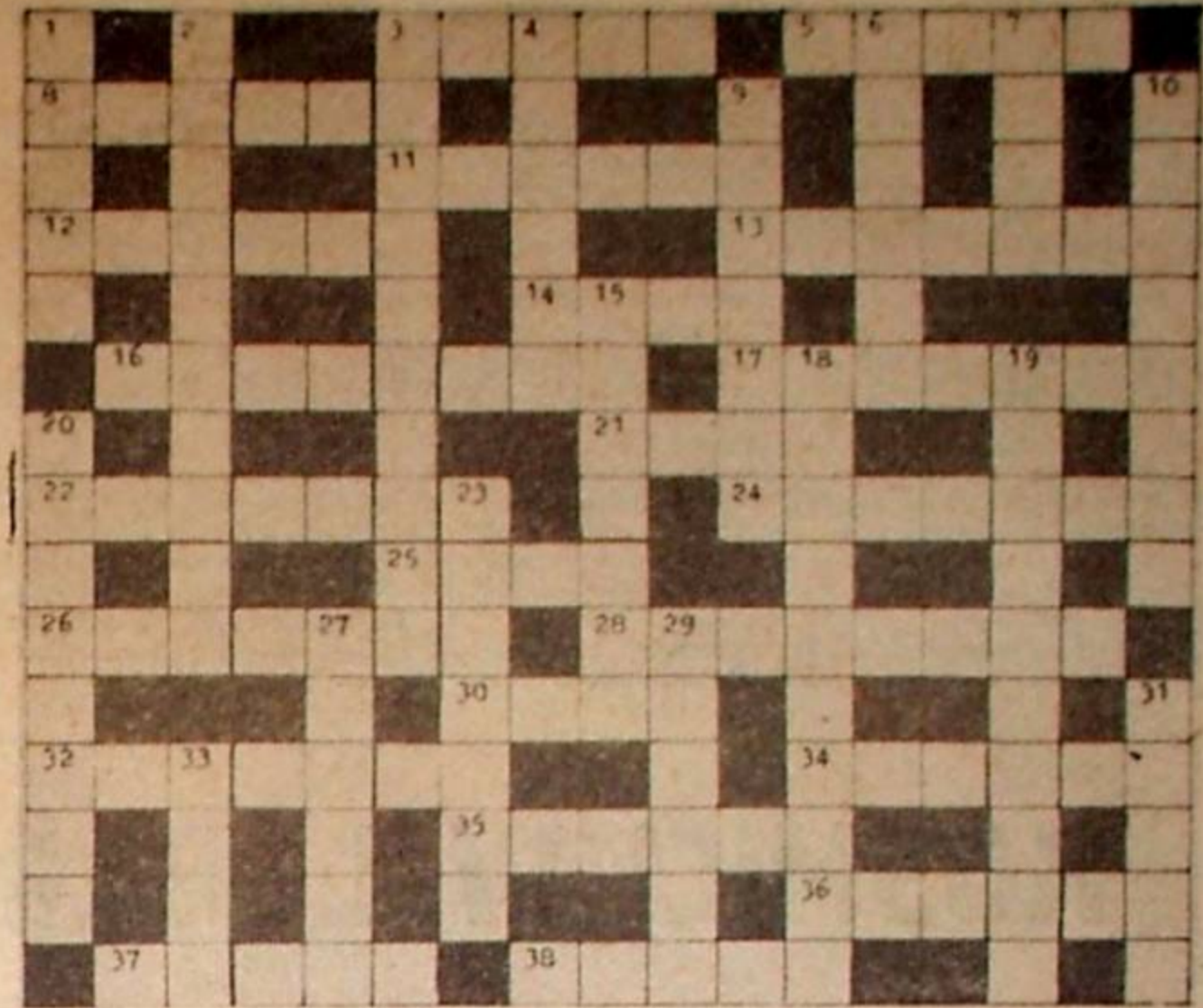
Poziołmo: 3. światło księgi łamano, 5. kraina na pograniczu Polski i Słowacji, 8. utajone szczytostwo 11 stóg, 12. roślina lecznicza podobna do małej choinki, 13. grali tam Polacy w czasie „Mundial 78”, 14. zdrobniale imię rosyjskie, 15. nauka o budowie Ziemi 17. tkanina z włókna, 21. włoski aktor komediowy 22. imię bobaterki „Cichego Donu” 24. przerwa w teatrze 25. urok, 26. rodzina znanych aktorów polskich, z której pochodziła Mieczysława Cwiklińska, 28. data nazwę partkowi narodowemu pod Warszawą, 29. rybi tłuszcz, 32. państwo w zach. Afryce, 34. arakuria, 35. doniwy Hugu w wod, białostockim i łomżyńskim, 36. krzew lub imię, 37. podziałka, 38. słuszenie.

Pionowo: 1. założyciel polskiej dynastii, 2. reżyserka teatralna, działająca w lwowskim teatrze od czterdziestych do sześćdziesiątych lat, 3. poeta polski, autor „Księgi ubożych” 4. Stary subiekt 5. krok, zwrot w tekście, 7. kierownica statku, 9. konserwatywny szlachcic polski, 16. brak styczności, 15. lampka kieszonkowa, 18. poetka polska, autorka „Pana Balcera w Brazylji”, 19. nominacja, 20. wieżenie paryskie zbuczone przez rewolucjonistów, 22. pochodne sole lub estry HNO₃, 27. wielodniowy film, 29. znany pisarz i drukarz krakowski, 31. tymczasowy budynek, 33. handluje pieniędzmi.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 12

Poziołmo: niemoc, traba, Rabka, Wańkiewicz, sorty, grosz, Kłosowski, Cenci, usta, szyny, zysk, lura, zima, aria, sosna, Kuba,



komar, Kamieńca, rolka, Urząd, Włodkowie, Jehot, Oscar, Safona.

Pionowo: Krasicki, Oberon, nawyki, Makuszyński, różni, Borowski, pies, furia, Weyssenhoff, Krzna, czara, uszko, szafa, Rabelais, Afrodyta, Koran, kaucja, Mszana, kawka, mrok.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 12 bony książkowe po 40 zł wylosowali: Annieliza Polto 29-092 Lublin, Hirsfelda 23 6 Zofia Tchórzewska 20-317 Lublin, Gosnodarcza 2 19, Stanisława Widz 23-266 Krańka, Szwerczewskiego 4, Paweł Barczuk 20-307 Lublin, Duleby 57.



O ŁĄKI W OSIEDLACH

Bardzo ładnie zielenią się nam osiedla mieszkaniowe LSM, oczywiście najstarsze, bo w tych nowszych — im, im, Sienkiewicza, Konopnickiej czy Prusa — krzaczki jeszcze wątle, a trawniki lysawe, słabo obsiane. Ta zieleń jest przy tym uporządkowana, rośnie w wyznaczonych miejscach, mieści się w ściśniętej siatce geometrycznej, chronionej napisami: „Nie deptać trawników”, „Szanuj zielenie” etc. Ale dzieci, istoty bardziej biologiczne, niż społeczne, ta od czasu do czasu po wypieganym trawniku, co nierazko budzi krzykliwe uwagi dorosłych. Tymczasem dzieci wiedzą, co robią i w jakimś sensie robią szuszenie: do szukają bezpośredniego kontaktu z naturą, ze swobodą, którą nasze kamienne osiedla ograniczają do minimum. Czy zatem usprawiedliwiliam deptanie trawników i niszczenie krzewów? Najbardziej. Chodzi mi o to, żeby, projektanci zieleni pozili wreszcie po rozum do głowy i przewidzieli w każdym osiedlu mieszkaniowym kawałek łąki do zabawy, onalania się i tym podobnych swawoli. Bo taka łąka jest potrzebna nie tylko dzieciom, ale i dorosłym, którzy mają po uszu oronizacji, wodzenia za rękę, dreptania na ściśle wyznaczonych traktach i ehelelby czasami położu się na trawie w dzień słoneczny, jako że nad zalew w Zemborzycach daleko, a w Konopnicy (też nie blisko) tuzburza hincakule calu dzień. W tej chwili takie łąki osiedlowe można by jeszcze u-

rzadzić w osiedlach im. Konopnickiej i Prusa, może — Sienkiewicza. Naturalnie, należałoby je obsiać odpowiednią trawą, taką, jakiej używa się w Anglii, gdzie właściciele wszelkie trawniki służą do czynnego relaksu, do uprawiania sportu dla zdrowia. U nas zieleń to eksponat muzealny!

Katarzyna Wiśniewska
Lublin

BEZ PROPORCJI

Przełglądając dzienniki lubelskie można dojść do wniosku, że w tym regionie wjątkowo obrodzilo talentami plastycznymi, które z blizy nie określonych powodów działają samopas, nie korzystając z preferencji związku artystów, który — widać — nie chce dostrzec owych naturalnych talentów z bożej łaski. Pisze się zatem często o „pejzazystach lubelskich”, o akwarelowcach „reportażach amerykańskich” — nieodmiennie w tonacji czolobitnego zachwycenia. A prawda jest taka, że ci autorzy miłuskich obrazków niewiele wspólnego mają z autentyczną twórczością, owszem, produkują czasami rzeczy zgrabne, „nad kanape”, ale tylko tyle. Cyfrolnik mniej zorientowany w sprawach sztuki jest przecie! wleżąc słowu firmowanemu przez gazetę, tym bardziej, że wspomniane „apokryfy” roją się od cytatów z wypowiedzi wulgarnych artystów, takich jak np. Brecht. A że w tekstach roi się ponadto od błędów rzeczowych, terminologicznych, roi się od frazesów i banalów — kogo to obchodzi, kto to rozstrzygnie? I w ten sposób białe się lotzawa hierarchie wartości, jednych utwierdzając w przekonaniu, że są wielbimi artystami, drugich — że obcą ze Sztuka. Piżmu o amatorach, ale zachowując wdzięczną proporcję! No i piszmy też, że ci ludzie z reszty dobrze zapadają na swoim ziemiole, którego rezultaty malowane zebrała się trafić w tzw. pust przestrzeni, wciąpliwę, rzecz jasna, promieniencji.

Edward Polaniec
Lublin

CO SIĘ ROBI?

O tym, że w Lublinie pogłębiają się trudności z zaopatrzeniem mieszkańców w wodę — wiemy wszyscy. O tym, że komunikacja miejska nie spełnia należącego swego zadania, a ruch samochodowy w śródmieściu dusi się w wąskich uliczkach — wiemy także. Ale mało, lub nie wcale wiemy, jakie planuje się działania, aby zlikwidować, lub przynajmniej wyraźnie ograniczyć te bolączki. Skromnie się na ten temat pisze w prasie, a jeśli to bezdno entuzjastycznie widocznie miasto jest bezradne i nie widzi możliwości wyjścia z sytuacji. Tymczasem Lublin rozwija się przestępnie, przybiera ludzi i zakłady produkcyjne, a w najbliższych latach proces ten nabierze dynamiki w związku z budową Lubelskiego Zoolobli Węglowego. Wodaje mi się, że poczyniśmy niewątpliwie pomyślnie, ale nie wiem, czy nie robi w celu rozszerzenia ruch polistowoszych dla przyszłości Lublina problemem. Może taki nacisk opinii publicznej przyniesie jakieś dobre rezultaty.

Inż. Jan Cieleśny
Lublin

60-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI

W związku z 60-leciem odzyskania niepodległości chciałbym zaproponować, aby w budynku, gdzie w 1918 roku mieścił się rząd tymczasowy, umieszczać tablicę pamiątkową. Ostatecznie wiele punktów programu tego rządu miało na celu poprawę bytu ludzi pracy. Oszczędna praca o orientacji państwowej nie eierowała zreszta Tymczasowego Ludowego Rządu Rzeczypospolitej, eksponując w swoich artykułach właśnie słowo „Ludowe” — dla przedstawienia ludzi, brzołat on krótko, ale niekiedy leżał daleko docechali się reformy rolnej w Polsce Ludowej (np. reforma rolnej).

Antoni Konieczny
Puławy

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechezye-Rudnicka [Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji)] Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zdzisław Mańkowski, Zdzisław Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyczny) i Maciej Podgórski (redaktor techniczny) — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerate na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny, — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 18 — Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH”

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli

Prenumerate ze tleciem wysyłki za granicę, która jest o 80% droższa od prenumeraty krajowej przyjmują RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” Centrala Koleportu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-950 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piatki w godz. 14-16

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie W dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unieka 4. Zam. 1764.

Numer łamał Mieczysław Pasjek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia.

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 36251

Konferencja prasowa w klubie „Nora”

TAK, teraz nie ma już najmniejszej wątpliwości: kosmici z planety Nora wylądowali pod Opolem Lubelskim. Zamierzali wprawdzie wylądować pod innym Opolem, Sławim, i uczestniczyć w otwarciu Festiwalu, jednak na skutek małego obycia w sprawach ziemskich pomylili te dwa miasta. Początek też się to zdarza, więc dziwić się nie należy. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Kosmitów udało się zaprosić na konferencję prasową, jaka staraniem lubelskiego oddziału SDP odbyła się w klubie „Nora”.

Sprawozdawca „Nosa” stenografował i teraz stara się przebieg tej konferencji, która miała dość nieoczekiwane zakończenie, obiektywnie zrelacjonować. Nie będzie tu zbędnych słów; ostatecznie Lublin już wiele widział i mieszkańców naszego miasta poza punktualnością autobusów MPK i PKS nie by już nie mogło zaskoczyć.

Kosmitów — panów No i Ra przedstawił zebrałym przewodniczący oddziału SDP, red. WL Wójcikowski.

Uważam uwagę na piękne kombinezony, w jakie są ubrani nasi goście. Takich kombinezonów nie widziałem nawet w Pewexie. A niedawno pewien mój dobry znajomy dyrektor zapewniał mnie, że rzuci do sklepów efektowne suknie, bluzki, biustonosze i inne ważne części garderoby. Uwierzyłam mu i napisałam o tym w gazecie. Owszem, jest pewna poprawa i za to jestem bardzo wdzięczna dyrektorowi, ale cieszyłabym się, aby poprawa miała większą efektywność. Dużo do myślenia dają mi również pełne twarze naszych drogiego kosmitów. Widocznie gastronomia u nich stoi lepiej niż u nas, chociaż nie mogę powiedzieć, że dyrektor Kućmiński nie stara się, aby było jak najmodniej. Ostatnio na przykład wyraźnie poprawiły się ziemniaki. Fakt, że to są młode ziemniaki, a dawniej były stare. Nie wnikajmy jednak w szczegóły...

L. Siemion: — Ale im korzeń starszy, tym twardszy, jak mówi poeta... (Oklaski starszych dziennikarzy).

KOSMICI W LUBLINIE!

Marek Adam Jaworski

Wójcikowski, znany globtroter po Roztoczu i portach amerykańskich.

— Mam zaszczyt — oświadczył — powitać naszych miłych gości z kosmosu. (Oklaski). Sądzę, że w Lublinie przeżyją niezapomniane chwile. (Pomruki zdziwienia). Ponieważ każdy z nas ma wiele obowiązków, a poza tym dzisiaj są ważne mecze piłkarskie, proponuję zamknąć spotkanie w przeciągu godziny. Czy są inne sugestie? Kto jest przeciw? Nie widzę, nie słyszę, a więc zaczynamy. Kto ma pytania?

L. Gnot: — Ja właściwie nie mam pytań, bo wszystko jest dla mnie jasne. „Kurier” zawsze wiele uwagi poświęcał sprawom kosmicznym, oczywiście nie tracąc z pola widzenia i spraw ziemskich, zwłaszcza dotyczących naszych wschodnich województw. I to nie jest prawda, że piszemy tylko o Lublinie. Tytuł naszego pisma może wprawdzie to sugerować, ale przecież życie nie opiera się na sugestiach, ale na faktach. Gółych faktach ale też i krzepiących. Nasi czytelnicy mogą mieć niekiedy takie czy inne wątpliwości. I dobrze, że je mają. Byłoby źle, gdyby ich nie mieli. Bo wątpliwości nie ma tylko ten, kto nie myśli, jak powiedział pewien starożytny uczony. Cogito ergo sum. I sum wcale nie oznacza tu ryby, jak mogą sądzić niektórzy wędkarze. Skończyłbym na tym, ale, jeśli twardziej, przepraszam jeśli towarzyszy i towarzysze pozwolą, stwierdzę, iż nawet największy przeciwnik schematyzmu, jak to już przy innej okazji pisałem w „3 groszach”, tryskający inwencją miłośnik oryginalności, nie ustrzeże się stereotypów myślowych. Niektórzy byli skłonni sądzić pochopnie, że nie nastąpi jakiegoś sprzężenia zwrotnego między Ziemią a inną planetą. A jednak nie mieli racji. Dowodem tego jest obecność w tym gronie naszych miłych gości, chciałoby się powiedzieć towarzyszy z planety Nora. Sądzę, że będę wyraził cięmiem nas wszystkich, jeśli im serdecznie podziękuję za przybycie. (Oklaski).

WL Wójcikowski: — Dziękuję towarzyszy Gnotowi za ciekawe wystąpienie. Kto następny? Śmiało koleżanki i koledzy!

M. Hortyński: — Jaki jest kurs dolara na planecie Nora?

WL Wójcikowski: — Proponuję najpierw pytania, a potem poprosimy o łączną odpowiedź. Słuchamy.

B. Rędziach: — Mnie, jako młodzieńca, interesują sprawy dorastającej młodzieży obojga płci. Jakim na przykład zapisem gra na Norze młodzież w brydża? Czy można mówić o zapisie między narodowym?

H. Pająk: — Kto spośród lubelskich literatów jest najbardziej popularny na Norze? Czy istnieje możliwość wyjazdu na wieczory autorskie? Jakich są stawki i kto zwraca koszty podróży?

A. Wawrzycki: — Z jakim oddźwiękiem spotkała się moja relacja na temat skandalicznego meczu „Motoru”?

F. Malinowski: — Przegapiłem, nie przekazałem jej od centrali PAP-u, przepraszam... (Oklaski przepiękane pomrukami dezaprobaty).

I. J. Kamiński: — Proszę państwa, my tutaj zadajemy pytania. Są to różne pytania. Na razie ich nie oceniam. Wydaje mi się jednak, że byłoby dobrze, gdyby nasi goście wypowiedzieli się na temat sztuki. Na przykład — co ma być celem malarstwa? Zrobienie obrazu? Czy też przetłumaczenie na język malarstwa konkretnych doznań autora? A czy w ogóle nasi goście wiedzą, co to takiego jest malarstwo? Ja nie lubię zbędnych słów, ale chętnie, podkreślam — chętnie sprawdziłbym to osobiście na miejscu, zapoznając się przy okazji ze środowiskiem Polonii na planecie Nora. Jeśli jeszcze Polonii tam nie ma, gotów jestem nieco poczekać, o ile, oczywiście, w tak zwanym międzyczasie nie otrzymam jakichś innych konkretnych propozycji.

M. Podgórski: — Czy na Norze można bez protekcji dostać części do malucha?

Z. Rybak: — Właśnie. Pan Podgórski poruszył sprawę zaopatrzenia. Nie powiem, aby ono było dobre, ale nie powiem, aby ono było złe. Ale zwró-

Z. Mikulski: — Jaki tam poeta! Był tylko jeden poeta. Gałczyński.

S. Rostworowski: — Przepraszam za drobne spóźnienie, ale obowiązki wagi państwowej... Przystępuję do dyskusji i budzą się we mnie pewne wątpliwości: czy koledzy dziennikarze nie podchodzą zbyt krytycznie do poruszanych tematów? Rzeczywistość zmusza nas do poświęceń. Ja rozumiem, że istnieje pewna niecierpliwość, ale są też granice, których przekroczyć nie sposób. Nie można przekroczyć, nie można przeskoczyć epoki. Obowiązkiem dziennikarzy jest tłumaczyć, wyjaśniać. A jeśli już o pytaniach mowa, to ja mam jedno: czy nad planetą Nora też rozciąga się niebo?

E. Mysłowski: — Ja jednak będę mówił o sprawach ziemskich, bo nasza gazeta zawsze trzyma się ziemi, zwłaszcza tej Ziemi Lubelskiej, która słynie ze swej gościnności. Oczywiście i Ziemia Chełmska i Ziemia Zamojska, a może zwłaszcza Ziemia Podlaska też z tej gościnności słyną. Mamy znakomite tereny łowieckie. Sądzę, że dyrektor Wydawnictwa, towarzyszy Flita, znajdzie jakieś fundusze i uda nam się towarzyszyć kosmitom niejednego kozła, niejednego dzika zaprezentować. W przyszłości — jeśli mógłbym wyrazić jakieś życzenie — pragnęlibyśmy, to znaczy ta brzydka polowa rodu ludzkiego, aby towarzyszem kosmitom towarzyszyła towarzyszą kosmitka. Nasz kontakt mógłby być wówczas bardziej bliski i bardziej wszechstronny z pożytkiem dla obu planet. (Burzliwe oklaski brzydkiej polowy).

Z. Tłuczkiewicz: — Ja w kwestii formalnej. Czy tutaj dadzą jakąś kawę?

S. Ziemiński: — Nie mamy funduszy. A poza tym nie ma w tej chwili wody.

L. Siemion: — Ale wódka jest!

(Huragan oklasków)

WL Wójcikowski: — Proszę o trochę powagi.

A. Tomanek, który z ekipą telewizyjną nagle wtargnął na salę (do mikrofonu): — Przewodzący region lubelski zawsze ambitnie realizuje wszystkie plany. Stale zwiększa się produkcja zbóż, ziemniaków i buraków cukrowych, mamy jeszcze pewne trudności ze wzrostem pogłowia, ale wspólnym wysiłkiem chłopów, robotników i inteligencji pracującej wsi i miasta, uda się je nam pokonać. Radzą właśnie nad tym problemem dziennikarze lubelscy...

WL Wójcikowski: — Adam, coś ci się pokręciło...

A. Tomanek: — Nie szkodzi, w telewizji nie ginie, leć, bo zaczynają zalewać asfaltem ulicę Puławską. To dopiero bomba!

WL Wójcikowski: — Sądzę, że już nie ma więcej pytań. Tak, nie widzę, nie słyszę. Pragnę więc serdecznie podziękować naszym dyskutantom za szczere, odważne wypowiedzi. Lubelskie środowisko dziennikarskie jeszcze raz dało dowód swemu zaangażowaniu, wykazało pryncypialność, oddanie. Teraz, jeśli mogę prosić, niech zabiorą głos nasi goście. Boże, że tak powiem nie po marksistowsku, gdzie się oni podzieli? Pani kierowniczo, nie widział pani? Gdzie oni do diabła, że tak powiem nie po bożemu, poszli?

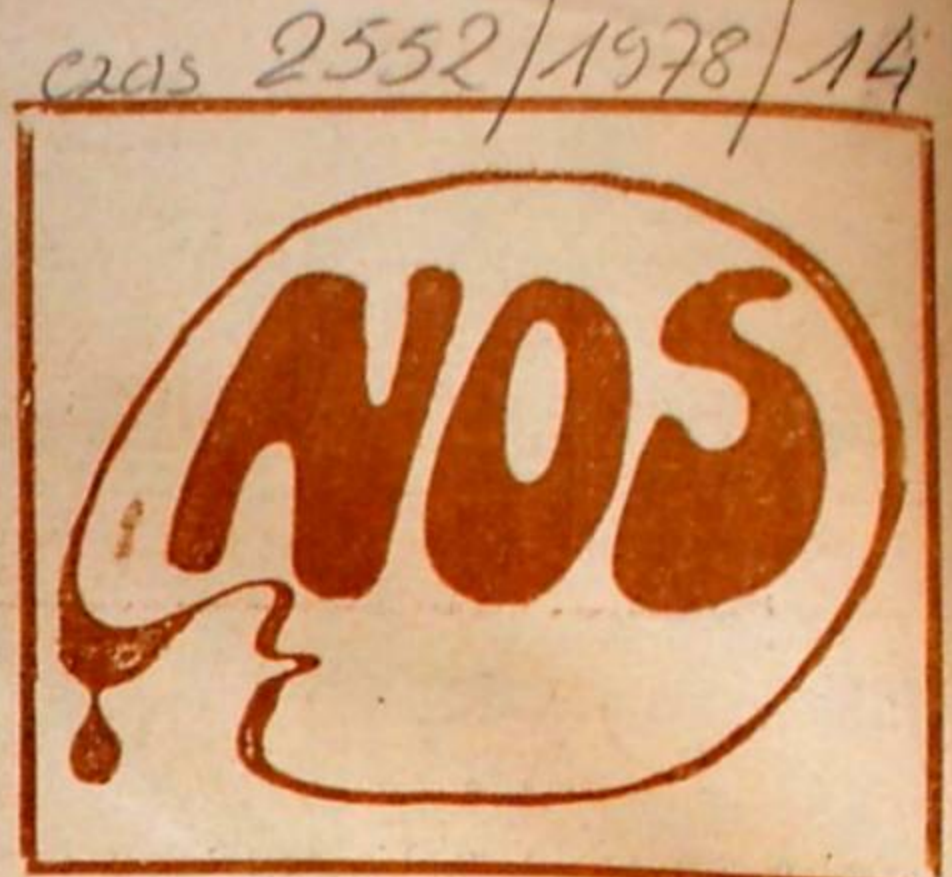
Pani Kierowniczo: — Do ZURT-u przywieźli baterie 9-woltowe. A bez tych baterii oni do niczego...

L. Gnot: — Przecież na sali jest Jurek Turzański! On nie tylko nożycami tańce przez prasę. Najlepsi inżynierowie przy nim wysiadają! (Pomruki aprobaty).

WL Wójcikowski: — To niesłychane, tak myśmy się rozdyktowali, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy wyszli! A czy powiedzieli chociaż kiedy wrócą?

Pani kierowniczo: — Z kosmitami nigdy nie ma wiadomo. Mam pod tym względem w „Norze” duże doświadczenia. Wkrótce będę pisać pracę doktorską...

Z ostatniej chwili: Z kosmitami dalej nie wiadomo. Na Festiwal Opolski nie przybyli, przynajmniej telewizja ich nie zauważyła. A w sklepach ZURT-u też niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Nawet nie wiemy, czy te baterie kupili. Tajemnica służbowa!



SATYRA NRD - OWSKA



Co mam robić, nie mam drobnych...

Eulenspiegel

Cugow
odpowiada na
ofertę

A DROBNE

KULTURALNY student filozofii, młody twórca — poszukuje adekwatnego pokoju. Oferty: 6759 — Biuro Ogłoszeń, Rybna 13.

Moi Drodzy!

Wertując, co czynię nalogowo, nasz codzienny biało-niebieski publikator, natrafiłem na dość rzeczowe ogłoszenie, które przesyłam w oryginalnej (Kulturalny student filozofii, młody twórca — poszukuje adekwatnego pokoju. Oferty 6759 — Biuro Ogłoszeń, Rybna 13).

Ofertę przeczytałem i odpowiadam: Posiadam pokój użytkarny, w kolorze egzegetycznym, z oknem Laokona na Paratipomenon. Wejście gnozeologiczne, odrzwia w stylu późnokabalistycznym. Przedpokój, wspólnota pierwotna, typ babilońsko-asyryjski, wystrój transcendentalny. Posiadam księgozbiór ekumeniczny jak księgę rodzaju powetrażonej grafomanii, wejścia i wyjścia. Wykluczone spory o uniwersalia czy inne pospolite powszechniki. Papirusy w łazience we własnym zakresie. Probabilizm i spirytualizm wykluczone, jak również poranne używanie pisma klinowego. Przyjmę wyłącznie osobnika dualistycznego (jak w ofercie) ponieważ tylko taki wyjdzie na swoje, jako że od twórców nie biorę komornego, od filozofów zaś tak. Najchętniej widziałbym Cyryla i Metodego.

Ars longa vita brevis!
Czekam na listy
Wasz Cugow
telefon jak za dawnych lat